

Wielki kronikarz

Wielki misjonarz



Odcinek 32 (7) bł. Wincenty, św. Jacek

cena 4,29 zł (zawiera VAT 0%)

Jan Paweł II
KOLEKCJA

NIEZWYKŁE HISTORIE LUDZI WIARY

Księga Świętych



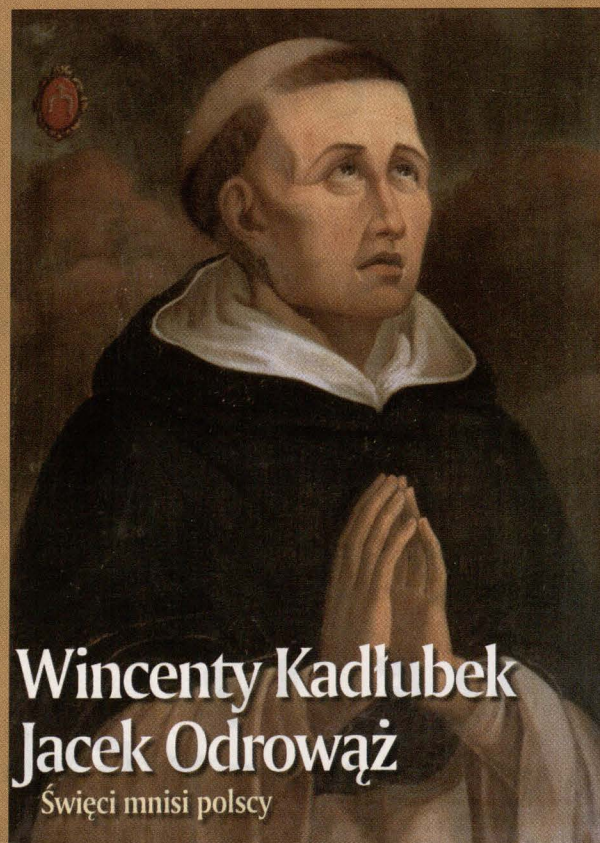
MIEJSCA JĘDRZEJÓW
SLYNNE OPACTWO
CYSTERSÓW



ZBLIŻENIA NIEZWYKŁA
KRONIKA MISTRZA
WINCENTEGO

LEGENDY CUDOWNE
WYDARZENIA
ZA SPRAWĄ ŚW. JACKA

KRONIKA
KANONIZACJA
OJCA PIO
POKĄDITO: BĘDZIE BERYTYFIKACJA
NA BŁONINACH



Wincenty Kadłubek
Jacek Odrowąż
Święci mnisi polscy



Błogosławiony Wincenty Kadłubek
urodzony pod szczęśliwą gwiazdą



Cuda błogosławionego Jacka
w legendach dominikańskich



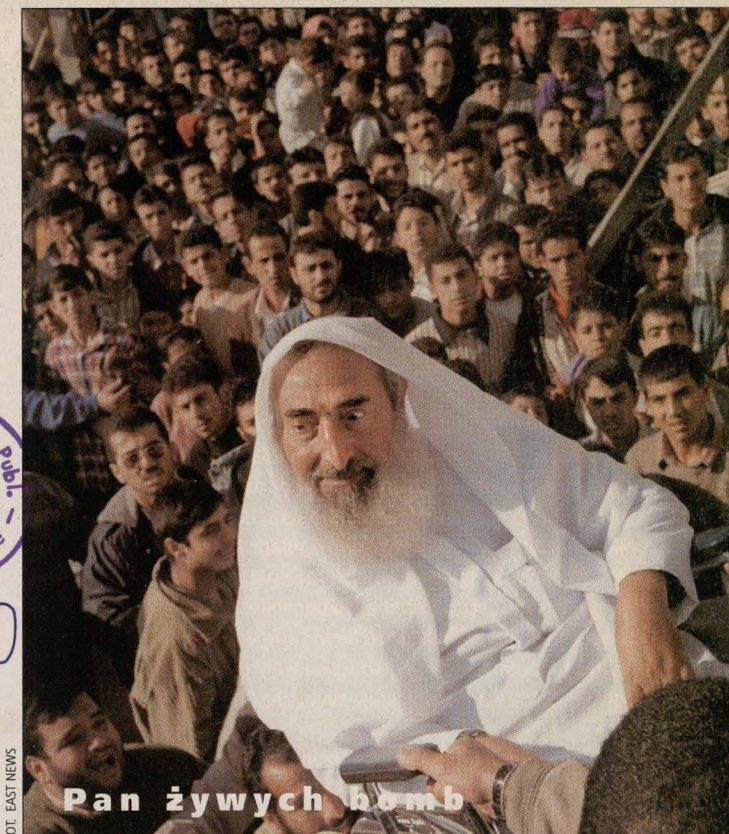
Sanktuarium Wincentego
Kadłubka w Jędrzejowie

W kioskach
od 4 lipca!

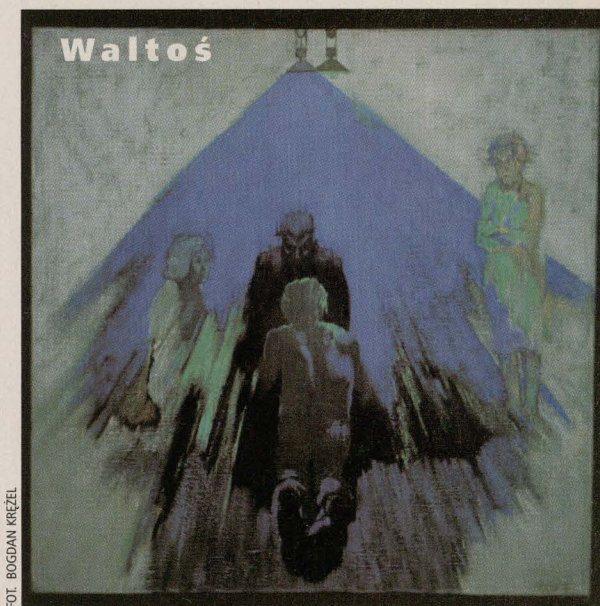
NUMER 27/2976 • 07.07.2002



- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
- 9 Z tygodnia na tydzień – o „Idolu” Paweł Dunin-Wąsowicz
- 10 Koniec mundialu – fotoreportaż
- 14 Dobrostan wynikiem eksploatacji populacji
– rozmowa z posłem Jerzym Czepulkowskim
- 15 Okienko z wierszem: „W drodze” Adama Zagajewskiego
- 16 Powrócono – o Adamie Zagajewskim pisze Tadeusz Nyczek
- 22 Pan żywych bomb – o szejku Ahmedzie Jassinie pisze Beata Pawlak
- 29 List z Austrii: Pamięć tkwi w bebechach – Monika Muskała
- 30 Nasza mała teleportacja – Konrad Lewandowski, Olga Woźniak
- 33 Mordillo i Polska Angola – Christiaan van Lierop
- 34 Krótka przerwa: W Albanii stan dróg... – Rafał Wodiczko
- 36 Galeria: Andrzej Osęka o Jacku Waltoś
- 42 Nie umiem po warszawsku – z Jerzym Stuhrem
rozmawiają Grzegorz Dyduch i Marcin Świetlicki
- 48 Seks w wielkim mieście – Małgorzata Szum
- 52 Wagina alla polacca – Mendel Gdański
- 53 Mord w bladocytrynowych rękawiczkach
– Jarosława Krawczyka prywatna historia malarstwa
- 54 O niedoroslach chłopkach – Nick Hornby w oczach Tadeusza Jagodzińskiego
- 56 Wytyż wzrok
- 57 Książki: O „Budzeniu zmarłych” Johna le Carrégo pisze Marcin Sendek, Antykwariat „Mentzel i S-ka”
- 58 Muzyka – recenzje Marcina Prokopa
- 59 Dwa tygodnie w kinie – Bartosz Żurawiecki
- 60 Literatura – Hermann Hesse „Poeta”
- 64 Nogi do góry – o wystawie Andrzeja Dudzińskiego pisze Bogdan Deptuła
- 66 Kulinarne Pióro Polski
- 67 Winny Bieńczyk
- 68 Felietony Stefani Grodzkiej i Jerzego Bralczyka,
Obraz wyraża Mariusza Wilczyńskiego
- 69 Z dziedziny kostiumologii – Hoff
- 70 Anna Maruszczyk w rozmowie z Marią Czubaszek
- 71 Listy
- 72 Krzyżówka i jolka
- 74 Co Pan na to, Panie Lem?
- 75 Stanisław z łodzi kupuje „Przekrój” w czwartek
- 76 Rozmaitości



Pan żywych bomb



Jacek Waltoś „Pieta w trójnasób”



Atc. 34/2003

WILHELM SASNAL

ZNOWU WJECHAŁY CZOŁGI

W siedmiu największych miastach Autonomii Palestyńskiej stoją izraelskie czołgi. Na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy obowiązuje godzina policyjna. Z polecenia Ariela Szarona izraelskie buldożery zburzyły w piątek budynki władz Autonomii Palestyńskiej w Hebronie. Zaraz potem, jakby w geście zadośćuczynienia wobec Palestyńczyków, okupanci zabrali się za likwidację własnych nielegalnych osiedli w okolicach Hebronu. Mimo to w Izraelu nie przestają wybuchać bomby.

Na zdjęciu palestyńska dziewczynka z Netzarim w Strefie Gazy obserwuje izraelski czołg wyłaniający się z tumanów kurzu.





SZCZYT DLA AFRYKI

W kanadyjskim kurorcie Kananaskis zakończył się w czwartek doroczny szczyt G8. W konferencji najbardziej uprzemysłowionych krajów świata po raz pierwszy uczestniczyła Rosja. Przywódcy przyjęli między innymi program walki z biedą w Afryce. Na zdjęciu prezydent RPA pomaga premierowi Kanady złapać przemówienie.

FOT. EPA/PAPFORUM

ZAKUCI W ŁODACH ANTARKTYDY

Rozpoczęła się akcja ratunkowa stuosobowej załogi statku badawczego „Magdalena Oldendorff” (na zdjęciu), który od dwóch tygodni stoi uwieczony w lodach u wybrzeży Antarktydy. Niemiecki statek, na którego pokładzie znajduje się 79 rosyjskich naukowców, wracał z rosyjskiej stacji badawczej Nowożariwskaja. Na Antarktydzie panuje w tej chwili noc polarna, wieją silne wiatry, a temperatura spadła do –50 stopni. Okręt ratowniczy „Agulhas” z RPA dopłynął na odległość 350 kilometrów od uwieczonego statku. W czwartek helikoptery ewakuowały 21 osób, a reszcie dostarczyły zapasy żywności i paliwo. Na ratunek wyruszył także argentyński lodołamacz, który ma utorować drogę do „Magdaleny Oldendorff”.



FOT. AP

PODPALACZ ARIZONY

„Przepraszam za to, co zrobiłem” – powiedział przed sądem 29-letni Leonard Grigg. W niedzielę Grigg został oskarżony o wywołanie jednego z dwóch pożarów, które od połowy czerwca trawią Arizonę. Grigg pracował sezonowo jako strażak Biura do spraw Indian w Arizonie. Podpalenia dokonał po to, aby zarobić na gaszeniu.



FOT. AP

WATYKAN BEZ DYMU

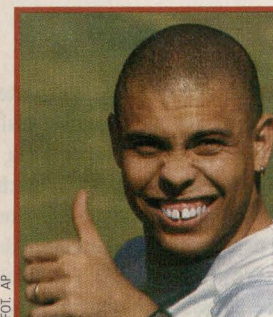
Po heretykach przyszedł czas na papierosy. W czwartek Watykan oficjalnie zakazał palenia tych drugich w biurach i urzędach Stolicy Apostolskiej. Za złamanie zakazu, który obowiązywał już wcześniej w miejscach publicznych, grozi grzywna w wysokości 30 euro. Wciąż nie wiadomo, jak będzie brzmiał łaciński napis informujący o papieskim rozporządzeniu. Rozważa się dwie propozycje: *vetatur fumare* (palenie zakazane) albo *prohibetur uti fumo* (używanie dymu jest zabronione). Na zdjęciu aktor Edward Asner pali papierosa na planie filmu biograficznego o Janie XXIII.



FOT. ERNAPAPFORUM

KRÓLEWICZ PRZEMYTNIK

Wiwatujące tłumy albańskich monarchistów witały w piątek powracającego do ojczyzny Lekę Zoga, syna byłego króla Albanii. Tuż po przylocie celnicy odkryli w jego bagażach 90 sztuk broni. 63-letni Leka, który przez 20 lat mieszkał w RPA i trudnił się handlem bronią, wyjaśnił, że to jego osobista kolekcja. Pięć lat temu niedoszły następca tronu próbował zorganizować w Albanii zbrojne powstanie. Za przemyt broni królewiczowi grozi wyrok do pięciu lat więzienia.



FOT. AP

MYŚL TYGODNIA

Zdobycie mistrzostwa świata jest lepsze niż seks, ponieważ można to zrobić tylko raz na cztery lata, a seks można uprawiać częściej. Jestem pewien, że seks nie sprawi nikomu takiej radości jak zdobycie mistrzostwa świata.

Ronaldo, napastnik piłkarskiej reprezentacji Brazylii

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o konwencji samorządowej Ligi Polskich Rodzin, podczas której Roman Giertych stwierdził, że dzięki wyborom „Pan Bóg da LPR okazję, żeby odzyskać Polskę, którą jej zabrano”. Bo nieładnie używać Pana Boga do ciuśnięcia głosów.

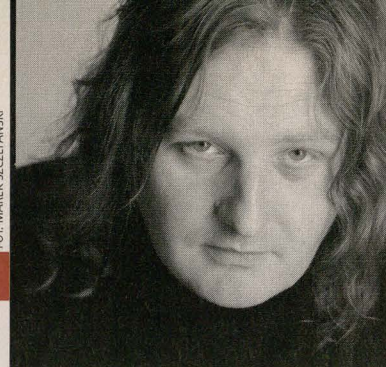
...o policyjnej infolinii dla zagranicznych turystów, która będzie informować, jak przetrwać w naszym kraju. Bo trudno telefonować, gdy ma się nóż na gardle.

...o siedmiu kobietach, które w Austrii przyjęły z rąk argentyńskiego arcybiskupa Romulo Braschiego święcenia kapłańskie. Bo te święcenia są oczywiście nieważne.

...o badaniach jelita grubego, którym poddał się prezydent Bush, i ich konsekwencjach dla ładu światowego. Bo nie znamy ich prawdziwych wyników.

...o Słoweńcu Martinie Strelu, który by znaleźć się w Księdze Rekordów Guinnessa, postanowił przepłynąć od źródeł do ujścia rzeki Missisipi. Bo pływać każdy może.

FOT. MAREK SZCZEPANIK



Idol nie rockuje

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Hala przy zarośniętej bocznicy kolejowej na peryferiach Warszawy. Zanim szczęśliwcy z wydzwonionymi zaproszeniami zapełnią trybunę, mogą pobrać autografy od kręcących się kandydatów na „idola”. Ubrani na biało młodzi chłopcy i dziewczęta zachowujący się jak na szkolnej wycieczce to ci, którym się nie poszczęściło w poprzednich etapach – wystąpią w finale jako wielki chór. W barku (przebój kuchni: smażone kartofelki) można stanąć tuż obok Alicji i Eweliny i dziwić się, że zupełnie nie widać po nich tremy.

Nim rozpocznie się transmisja finału najbardziej oglądanego konkursu telewizyjnego, publiczność wysłucha instrukcji, jak reagować. Na pierwszym planie, przed estradą, na której prezentuje się trójka finalistów, stanie dyrygent od „spontanicznych” reakcji. Ale tego nie widać w telewizorze.

Jury jest dziś wyjątkowo łaskawe. Równie rozkłada życzliwość wobec finalistów, a przecież zasłynęło wyjątkowym zdecydowaniem i nieprzebieganiem w słowach wobec uczestników programu. Juror Kuba Wojewódzki trafił nawet na okładkę najpoczytniejszego plotkarskiego tygodnika jako pierwszy idol „Idola”.

Jury odrzuciło najpierw kilka tysięcy kandydatów, aby przedstawić w końcu grupkę, z której to już sami widzowie eliminowali – niczym w „Wielkim Bracie” – kolejnych śpiewaków. I to widzowie wybierają z ocalałej trójki zwycięzcę – tego jedynego „idola”, z którym kontrakt płytowy podpisze wielka firma fonograficzna.

Zwyciężczyni Alicja Janosz przyjechała z Pszczyny. Ma 17 lat i wdzięk psotnego dziecka. Jako jedyna z finałowej trójki nie śpiewa rocka, lecz piosenkę pop z repertuaru Anastacji, i może to na-

wet lepiej, kiedy słyszało się, jak siemięźnie „urockowił” piosenkę Ciechowskiego długowłosa Szymon Wydra i jak wtórnice przebój Tiny Turner wyrzycała Ewelina Flinta.

„Idol” to program na brytyjskiej licencji. Z Wielkiej Brytanii przybył zwycięzca tamtejszej edycji Will Young, aby uświetnić polski finał. Po jego triumfie sprzedano 1,2 miliona egzemplarzy singla ze śpiewaną przez niego piosenką. A w Warszawie Young wykonuje tylko jeden utwór – „Light My Fire” Doorsów w ugrzeczniejszej wersji.

Tej akurat piosenki nie napisał Jim Morrison, lecz Robbie Krieger, gitarzysta The Doors.

Ale to Morrison był prawdziwym idolem – i pozostaje nim 31 lat po swojej śmierci (3 lipca mija rocznica) nie tylko z powodu odpowiedzi na pytanie „jak?” (czyli walorów wokalnych oraz osobowości scenicznej), ale przede wszystkim „co?” – piosenek, które pisał. Od prawie 40 lat, od czasów The Beatles, kult w muzyce pop wiąże się nie tylko z charakterystycznym głosem i wyglądem, ale bardziej jeszcze z przekonującym własnym repertuarem. I chociaż parę lat temu miliony płyt sprzedawał *girlsband* z *castingu* – Spice Girls – dziś nikt nie pamięta już piosenek, jakie dostarczali Spicetkom profesjonalści od szybkiej kasy

w show-biznesie. Will Young ich też nie zaśpiewał.

Porażka Szymona i Eweliny – rockowców na siłę – jest logiczna i wynika z podstawowej sprzeczności. Prawdziwy rock nie pasuje do telewizyjnego świata konkursu, w którym zasadą jest śpiewanie cudzych piosenek i ocenianie interpretacji, a nie autorskiej kompozycji i tekstu. Taki rock jest tak samo nieszczerzy jak jazz bez improwizacji – takie są prawa gatunku. „Nie kupisz weny” – śpiewał 20 lat temu Oddział Zamknięty.

A małej Ali należy życzyć wszystkiego najlepszego.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



VICTORIA BRASILIANA

Brazylia po raz piąty została Mistrzem Świata w piłce nożnej. W finałowym meczu 17. Mistrzostw Świata 2002, który odbył się w niedzielę na stadionie w Jokohamie, „Canarinhos” pokonali reprezentację Niemiec 2:0. Gwiazdą zwycięskiej drużyny był Ronaldo, który strzelił oba gole. Za osiem bramek zdobytych podczas mistrzostw otrzymał tytuł Króla Strzelców. Trzecie miejsce wywalczyła Turcja, pokonując Koreę 3:2.

Mistrzowie świata,
Brazylijczycy
Ronaldo i Rivaldo,
całują swoje trofeum

2

Oliver Kahn, kapitan i bramkarz drużyny niemieckiej,
pocieszany przez trenera Rudiego Voellera

Fantomas

PRZEZNACZONE

żegnaj laleczko
słodko śpi z tobą w Pusan
hymn narodowy

karny Debbida
refleks słońca w przyboju
uśmiech Ateny

gwizdźmy na deszcz
34 w cieniu
ktoś musi odejść

hala Sapporo
jak widmowy hotaru*
hula Collina

awaria słońca
to znów ty Faetonie
lob Ronaldinho

jak jednodniówka
w catenaccio termitów
malerki Owen

spać Tegu Dzondzu
już noc dała na migi
czarny kartonik

biały czarodziej
więcej czerwone mroczki
tajfun gumisiów

czas nagłej śmierci
tysięczne ukąszenia
rybek ze złota

krwawo lśni księżyc
klątwa nad Europą
huk sów o zmierzchu

zmusić do faulu
albo z klepki na oślepie
bez kleju w nogach

spójrzcie w zwierciadło
nad trudną radą szlocha
władca pierścieni

na szczycie świata
brakujące ogniwo
snu o potędze

30 czerwca 2002

* hotaru (jap.) – robaczek świętojański

Mistrzostwa powitaliśmy antologią wierszy futbolowych. Żegnamy utworem nawiązującym do starojapońskiej formy *haiku* napisanym specjalnie dla Czytelników „Przekroju” przez jedną z najbardziej enigmatycznych postaci naszej literatury – Fantomasa. Dał się on dotąd poznać jako autor jazzującego poematu „Hot Club” mieszczonego we wspólnym tomie Fantomasa, Tadeusza Pióry i Andrzeja Sosnowskiego „Dom bez kantów” (Legnica 1998).

Senacka komisja rolnictwa zastrzyła przepisy dotyczące przebywania kotów i psów na terenach łowieckich. Do tej pory Sejm proponował, aby strzelanie było możliwe tylko do psów i kotów znajdujących się co najmniej 200 metrów od zabudowań. Jeżeli poprawioną ustawę przegłosuje Sejm – myśliwi będą mogli strzelać do „włóczących się” psów i kotów „poza zabudowaniami mieszkalnymi”. To w praktyce oznacza, że będą mogli zastrzelić każdego psa i kota, które znajdą się poza domem

Z POSŁEM JERZYM CZEPUŁKOWSKIM – SEJMOWYM SPRAWOZDAWCĄ USTAWY O OCHRONIE ZWIERZĄT – ROZMAWIA MICHAŁ WÓJCIK



FOT. ANDRZEJ WIERBIEŃCZAK

Dobrostan wynikiem eksploatacji populacji

MICHAŁ WÓJCIK: Czy lubi Pan strzelać do kotów?

JERZY CZEPUŁKOWSKI: Nie wolno tego tak upraszczać...

A do psów? Oczywiście bezpiecznych.

– Również nie lubię tego czytać i tego nie robię.

Pytam, bo ustawa w poprawionym przez Pana i kolegów kształcie umożliwia takie strzelanie.

– Proszę pamiętać, że Polski Związek Łowiecki ma ustawowy obowiązek eliminować zwierzęta, które są obce środowisku.

Dajmy na to, że myśliwy potrafi odróżnić kota na spacerze od dzikiego koczka z lasu. Ale jaką taki kot dachowiec może wyrządzić szkodę sarnie?

– Sarnie żadnej. Ale taki kot może wyrządzić duże szkody ptactwu gniazdującemu na ziemi. Poczyna-

jąc od skowronka, poprzez przepiórkę, cietrzewia aż do bażanta i jaszczurki. Plus młode mioty zajęcze. Tu nie chodzi o ochronę zwierząt łownych, tu chodzi właśnie o tego skowronka na polskim niebie. Watahy psów zwłaszcza wiosną przeczesują pola i zabijają ptactwo ziemne i zajęcze wylęgi. Tego nie widać z samochodu, bo na polach są już buraki czy inne niskie uprawy.

To jak Pan uspokoi właściciela na przykład domowego pudła? Taki człowiek może się obawiać, że podczas wiosennego spaceru myśliwi otworzą ogień do jego psa.

– To jest wykluczone. Chodzi o psy, które stanowią zagrożenie dla życia i zdrowia człowieka lub jego gospodarki. Łowieckiej również. Ponadto pamiętajmy o pogryzieniach ludzi przez dzikie psy.

Pytam o to, bo w Bielsku-Białej myśliwy tak się w łowieckiej furii zapomniał, że zastrzelił psa prowadzonego przez dziewczynkę na smyczy.

– Ta sytuacja jest naganna. Właściciele psa mają prawo domagać się odszkodowania i ukarania tego sprawcy. Ale pamiętajmy jeszcze o jednym – Polska zajmuje wstydlive pierwsze miejsce, jeśli chodzi o zagrożenie wścieklizną wśród państw kandydujących do Unii Europejskiej.

Tu chodzi o psy takich gospodarzy, którzy swoje zwierzęta spuszcza na noc z łańcucha. I taki wygłodniały pies walczy o bazę pokarmową z lisem, jenotem, a potem zawleka wściekliznę do zagrody. A więc ta ustawa ma poprawić dobrostan zwierząt.

Sam Pan mówi o nocnym procedurze i temu ustawa nie może skutecznie przeciwdziałać. Widział Pan kiedyś nocne polowanie?

– Ale pamiętajmy o elemencie edukacyjnym. Ludzie zaczęli bardziej uważać. Dziś jest tak, że jeżeli wiejski pies nie wyżre żarcia świni z koryta, to nie ma co jeść. Gospodarz spuszcza go na noc, niech sobie coś upoluje. Mamy nadzieję, że gospodarze, właściciele psów i kotów otoczą je opieką. I zapobiegną ucieczce tych zwierząt na noc. **W parlamencie jest aż 80 zapalonych myśliwych. Czy to nie jest tak, że po prostu myśliwi chcą odstrzelić konkurencję?**

– Co to jest łowiectwo? To gospodarowanie populacjami zwierząt. Polega ono na ochronie, opiece i eksploatacji tych populacji. Przecież myśliwi są zainteresowani, aby te populacje były jak największe. Choć nie zawsze.

A Pan jest myśliwym?

– Jestem.

ADAM ZAGAJEWSKI

W drodze

1. Bez bagażu

Podróżować bez bagażu, spać w pociągu na twardej drewnianej ławce, zapomnieć o rodzinnym kraju, wynurzać się z małych dworców o świcie, kiedy wstaje szare niebo i kutry wychodzą w morze

2. W Belgii

W Belgii padał bardzo lekki deszcz i rzeka wiała się między wzgórzami. Myślałem – jestem tak niedoskonały. Drzewa siedziały na łąkach jak księża w zielonych sutannach. Październik chował się w chwastach. Nie, proszę pani, powiedziałem – to jest przedział dla nierozmawiających.

3. Jastrząb krąży nad autostradą Będzie rozczarowany – jeśli spadnie na blachę, na benzynę, na taśmy taniej muzyki, na nasze wąskie serca.

4. Mont Blanc

Świeci z daleka białe i ostrożnie, jak latarnia dla cieni.

5. Segesta

Na łące ogromna świątynia – dzikie zwierzę otwarte ku niebu.

6. Lato

Lato było gigantyczne, zwycięskie – a nasze małe auto wydawało się zagubione na szosie prowadzącej do Verdun.

7. Dworzec w Bytomiu

W podziemnym tunelu rosną niedopałki a nie stokrotki. Tutaj cuchnie samotność.

8. Emerycy na wycieczce

Uczę się chodzić po ziemi.

9. Mewy

Wieczność nie podróżuje, wieczność czeka. W porcie rybackim tylko mewy są gadatliwe.

10. Teatr w Taorminie

Z teatru w Taorminie widać śnieg na wierzchołku Etny i błyszczące morze. Kto jest lepszym aktorem?

11. Czarna kotka

Czarna kotka wychodzi nam na powitanie tak jakby mówiła: spójrzcie na mnie, a nie na czcigodny kościół romański. Ja żyję.

12. Kościół romański

Na dnie doliny spoczywa kościół romański: w tej beczce jest wino.

13. Światło

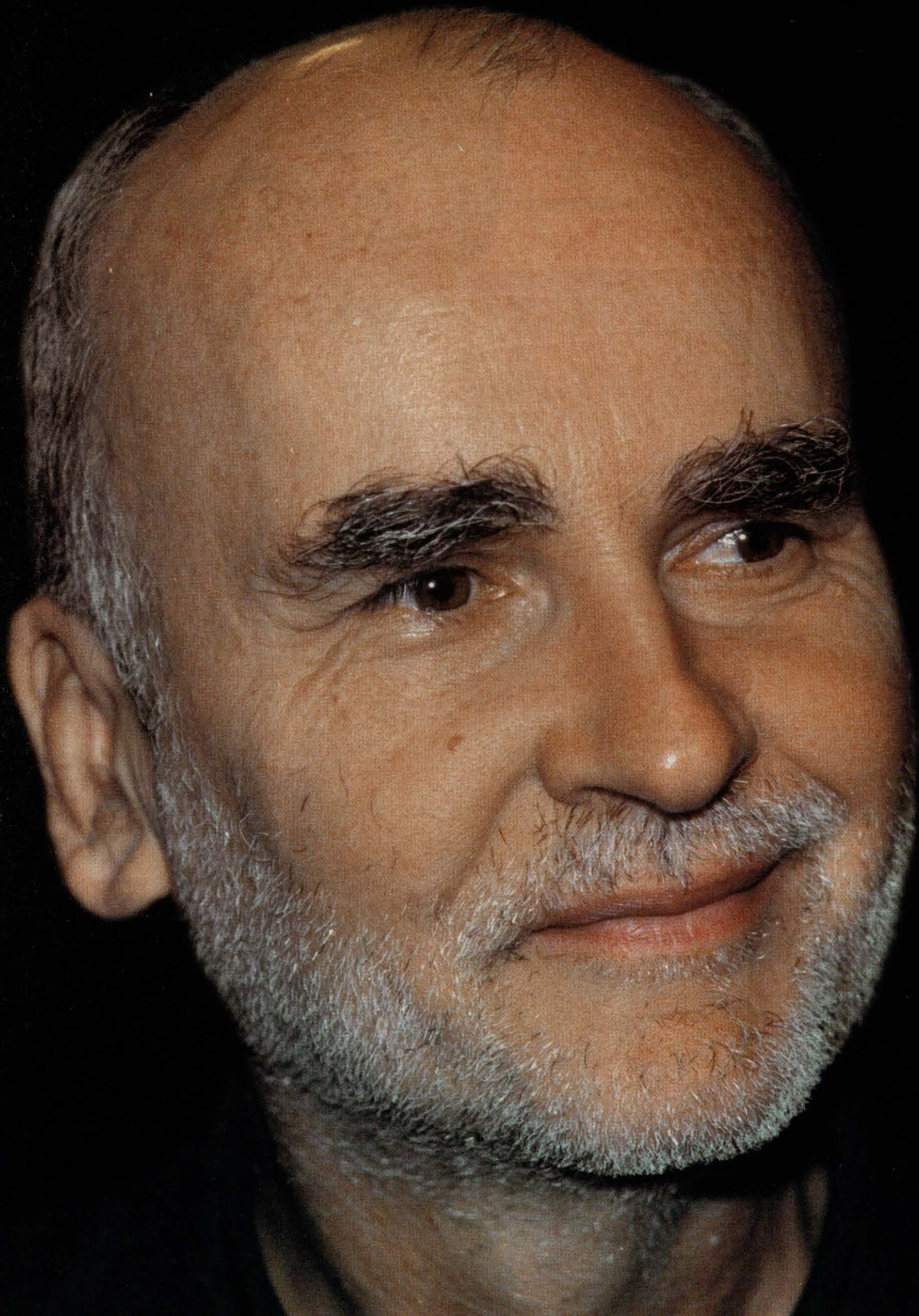
światło na ścianach starych domów, czerwiec. Przechodniu, otwórz oczy.

14. O poranku

Materialność świata o poranku – i delikatność duszy.



Trzyletni Adam Zagajewski, rok 1948



TADEUSZ NYCZEK

POWRÓCONY

Kiedy wyjeżdżał
do Paryża
20 lat temu,
był jeszcze młodym
opozycyjnym poetą.
Za kilka dni
wraca do Polski
jako światowej sławy
pisarz. Nazywa się
ADAM ZAGAJEWSKI

Nie pamiętam dokładnie, kiedy państwo Miłoszowie sprowadzili się do Krakowa. To była połowa lat 90., może trochę przed. Najpierw tylko pomieszkiwali od późnej wiosny do późnej jesieni, a kiedy w Polsce robiło się zimno, mokro i ogólnie wrednie, wracali do Kalifornii, gdzie wciąż można było chodzić w samej marynarce. Któregoś roku nie wrócili, i tak zostało. Miłosz jest oczywiście znany w Ameryce, ale kto by mu tam na 90. urodziny zrobił taką fetę, jak się zdarzyło w ubiegłym roku, że miesiąc wcześniej i miesiąc później o niczym innym się w Krakowie nie mówiło?

Pamiętam za to dokładnie przyjazd do Krakowa państwa Mrożków – jesienią roku 1996. To już był prawdziwy powrót do miasta opuszczonego przez autora „Emigrantów” 37 lat wcześniej. Mrozek wracał z Meksyku, gdzie przez ostatnie lata mieszkał i skąd niemal dosłownie uciekł, zabierając żonę i bibliotekę, bo miły ten kraj popadł w bezprzykładny kryzys polityczno-ekonomiczny i przeciętnie zamożny cudzoziemiec musiał sypiać z rewolwerem pod poduszką. Jak długo można?

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE ADAMA ZAGAJEWSKIEGO, KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI/FOTUM



Adam Zagajewski, Noc Poetów, Kraków, rok 1975

Rok później sprowadzili się z Poznania do Krakowa państwo Kryniccy, zabierając ze sobą sławne już wydawnictwo a5. Stan wojenny wyjątkowo dotkliwie obszedł się ze środowiskiem literacko-artystycznym Poznania, czego nie odwróciła dekada wolności po 1989. Krótko mówiąc, państwo Kryniccy dali nogę z Poznania, bo to nie był już ten Poznań co kiedyś, a w Krakowie nie dość, że nadal mieszkało sporo przyjaciół i działały się różne niegłupie rzeczy, to jeszcze w dodatku zamieszkali tam państwo Miłoszowie i państwo Mrożkowie. Zaś latem roku 1996, czyli tuż przed sprowadzeniem się państwa Mrożków, państwo Zagajewscy nabyli w Krakowie mieszkanie. Coś to oznaczało, choć długo jeszcze nie wiadomo było co, bo do Krakowa wpadali tylko na chwilę raz czy dwa razy w roku. Aż przyszła wiadomość: wracają naprawdę.

Zamknij oczy i zapomnij

Komuś, kto ten tekst doczytał do tego miejsca, proponuję zamknięcie oczu albo przejście do innych zajęć. Powinno bowiem nastąpić kilka słów wyjaśnienia, dlaczego mianowicie państwo Zagajewscy postanowili porzucić Paryż i wrócić do Krakowa, zaś bohater powrotu bardzo nie chce, aby ten fakt był w jakikolwiek sposób zauważony, nie mówiąc o fetowaniu. Niestety, wiadomość już się rozeszła i nikt nie jest w stanie nic na to poradzić. Łącznie z piszącym te słowa, który niniejszym prosi, by w miarę możliwości nie czytać, a jak już ktoś przeczytał – zapomnieć, że za kilka dni wróci do Polski po 20 latach jeden z największych polskich poetów współczesnych.

To rzeczywiście nie jest żaden spektakularny akt, który należałoby czcić fanfarami. Zagajewski wraca nie dlatego, że go ścigają, że coś mu się zaczęło usu-

wać spod nóg, że tamten świat przestał istnieć albo ktoś tutaj ofiarowywał mu złote góry. Wraca, jak wyjechał: po cichu. Teraz po prostu woli być tu.

A jak się to zaczęło?

Jak partia nam, tak my partii

Nic właściwie nie zapowiadało wyjazdu na tak długo. W roku 1980 dostał stypendium znanej niemieckiej fundacji DAAD. Trzeba było mieszkać rok w Berlinie i albo studiować, albo pisać, albo po prostu być i zbierać doświadczenia. Z takich stypendiów przywozi się czasem gotowe książki, czasem ich pomysły. Zagajewski zaczął tam pisać swoją drugą powieść „Cienką kreskę”. W roku 1983 wyszła w krakowskim Znaku. Akcja dzieje się w Berlinie i opowiada o przygodach pewnego rysownika, który z maestrią posługiwał się cienką kreską; stąd tytuł.

W międzyczasie bywał w Paryżu, co nie było bez znaczenia dla późniejszej decyzji zamieszkania właśnie tam.

Kiedy po berlińskim roku wrócił do Krakowa, Solidarność kręciła się już na całego. Trwało narodowe święto nieźle naśladujące prawdziwą wolność, a o to przecież chodziło: żeby życie nabrało jakiegoś nowego sensu. Miał w tym wszystkim udział bardzo osobisty. W końcu po coś wybrał w drugiej połowie lat 70. dość mimo wszystko ryzykowny żywot opozycjonisty. W roku 1975 podpisał głośny list protestacyjny do władz w sprawie poprawek do konstytucji, bo partia wymyśliła, że wazeliniarstwa pod adresem ZSRR nigdy dosyć i należałoby wpisać do najważniejszego państwowego dokumentu formalną zależność od politycznego hegemonu. W roku 1977 zaczął współpracować z pierwszym poważnym pismem literackim wychodzącym poza cenzurą „Zapisek”. Za tym ge-



Kolegium „Młodej Kultury”. Od lewej: Leszek A. Moczulski, Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski

stem stało też nieukrywane sympatyzowanie z KOR-em, gdzie znalazło się wielu jego przyjaciół, choć oficjalnie Zagajewski nie był jego członkiem.

To wszystko miało swoje skutki. Zakaz druku, zakaz pracy w państwowych instytucjach, praktycznie zniknięcie z obiegu. Ale bynajmniej nie zniknięcie z krwiobiegu kultury. Pojawiła się bowiem pierwsza duża szczelina w zwartym dotąd systemie socjalistycznej polityki kulturalnej: niezależne kursy samodokształcające, drugi obieg wydawniczy.

Niezapomniany Lwów

W ogóle wszystko się zaczęło znacznie wcześniej. Może nawet wtedy, gdy w czerwcu 1945 roku w zamieszkałej we Lwowie rodzinie państwa Zagajewskich pojawił się syn Adam, brat starszej o kilka lat siostry Ewy. Cztery miesiące później Adam i Ewa wraz z rodzicami znaleźli się w Gliwicach. Lwów został po tamtej stronie gra-

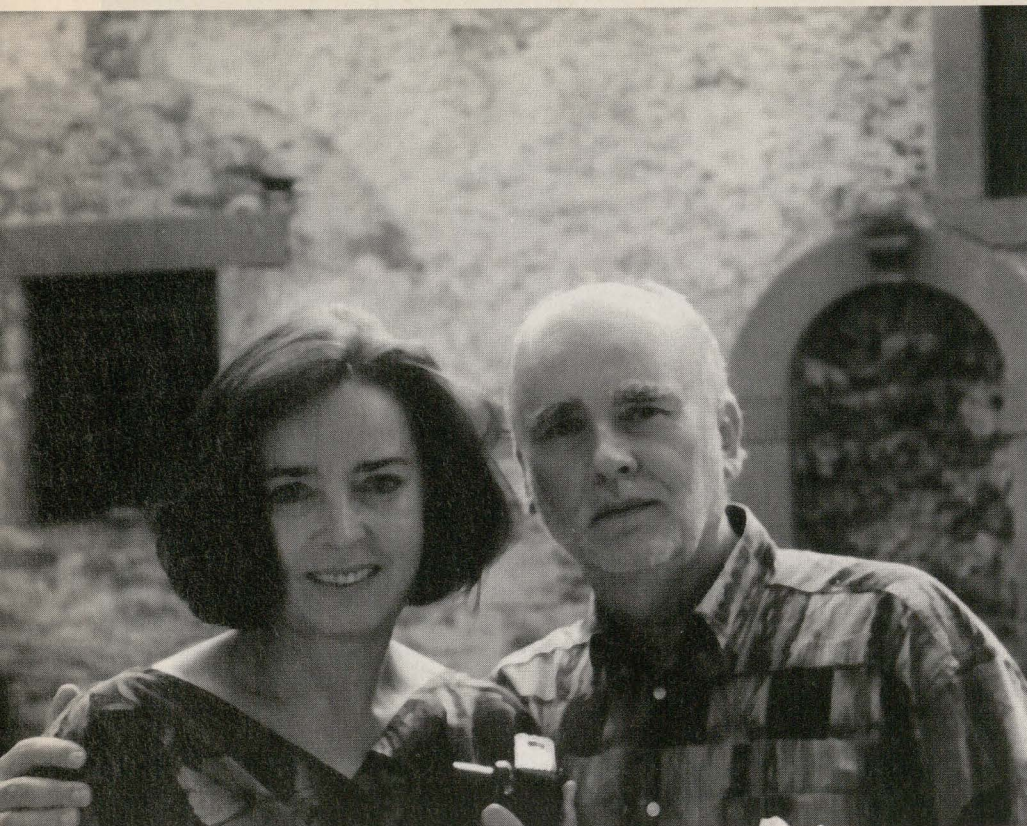
Zagajewski wraca nie dlatego, że go ścigają, że coś mu się zaczęło usuwać spod nóg, że tamten świat przestał istnieć albo ktoś tutaj ofiarowywał mu złote góry. Wraca, jak wyjechał: po cichu

nicy. Nigdy niezapomniani. Był stale obecny w domu państwa Zagajewskich i podobnych im rodzin z tamtych stron pochodzących, zamieszkałych w „nowej Polsce”. „Rozmawiali o (...) wzgórzach tego miasta. O pewnym dniu, dawno temu. O malinach, delikatnych i dojrzałych. O Niemcach i Rosjanach podczas wojny: kto był gorszy. O głodzie. O Syberii. O pewnej służącej, która kradła, ale była poza tym tak miła i usłużna, że wybaczano jej to. Miasto, które opuścili, było najpiękniejsze na świecie”. Cytat pochodzi z eseju „Dwa miasta” opublikowanego w roku 1991 w tomie szkiców pod tym samym tytułem.

Lwów jest także bohaterem jednej z najgłośniejszych książek poetyckich Zagajewskiego – „Jechać do Lwowa” z roku 1985. Stał się mitem, wielką metaforą Miejsca Utraconego, do którego można wrócić tylko w poetyckim zakłęciu. Oto zakończenie tytułowego wiersza zadekowanego rodzicom:

*...dlaczego każde miasto
musi stać się Jerozolimą i każdy
człowiek Żydem i teraz tylko w pośpiechu
pakować się, zawsze, codziennie
i jechać bez tchu, jechać do Lwowa, przecież
istnieje, spokojny i czysty jak
brzoskwinia. Lwów jest wszędzie.*

Opuszczanie, wyjeżdżanie, bezdomność rozumiana jako brak stałego miejsca-domu – to będą powtarzające się motywy późniejszej twórczości kogoś, kto opuścił Lwów dla Gliwic, gdzie skończył wczesne szkoły, Gliwice dla Krakowa, gdzie studiował i pracował do końca lat 70., Kraków dla Paryża, gdzie zamieszkał w roku 1982 i który rokrocznie na kilka miesięcy opuszczał dla amerykańskiego Houston, by wykładać na tamtejszym uniwersytecie. Ale koło podróży właśnie się zamyka. Czy powrót do Krakowa będzie ostatnim przystankiem w ponadpółwiecznej wędrówce poety rozpoczętej we Lwowie?



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE ADAMA ZAGAJEWSKIEGO

Z żoną we Włoszech, rok 1999

Dla Mai Zagajewskiej będzie to też powrót z dalekiej w czasie podróży. O żonach poetów zazwyczaj niewiele się mówi. Ale gdyby nie pani Zagajewska, pan Zagajewski zapewne nigdy nie odbyłby swojej wielkiej wędrówki przez świat. Do niej przecież pojechał we wspomnianym roku 1982, już wtedy od kilkunastu lat paryżanki. Była jego miłością z czasów wspólnych studiów uniwersyteckich na psychologii. Potem życie obojga potoczyło się inaczej i osobno, aż odnaleźli się ponownie w Paryżu, i tak już zostało.

Pocziwy szaleniec Gomułka

Jako pisarz urodził się w Krakowie pod koniec lat 60. Czasy były dosyć okropne. Rządził Władysław Gomułka, coraz bardziej obłąkany od swojej beznadziejnej misji zbawiania socjalistycznej Polski. Jego niekończące się, wielogodzinne przemówienia oblepiały nas jak kleista żywica cieknąca z ciężko chorego drzewa. W roku 1968 pocziwy szaleniec wydał wojnę zdrowemu rozsądkowi i własnemu instynktowi samozachowawczemu, rozniecając antysemityzm i zabierając przy okazji Polakom jedną z niewielu przyjemności publicznego wyrażenia swoich gorących uczuć pod adresem ukończonych okupantów zza Buga, czyli zdejmując z afisza „Dziady” w Teatrze Narodowym.

Byliśmy wtedy na studiach. Wielu z nas nie interesowało się polityką, bo były ciekawsze zajęcia, na przykład czytanie Kafki albo chodzenie do kina na Felliniego czy Kurosawę. Ale już dłużej nie dało się udawać, że świat nas nie dotyczy. Wiece antygomułkowskie rozpędzane pałkami i gazami łzawiącymi nauczyły nas dożywotniego

niedowiarstwa pod adresem władzy ściskającej jedną ręką za gardło, a drugą piszącą obłudne artykuły, jak to wykorzystali nas paskudni syjoniści. A w ogóle wszystko jest cacy, tylko trzeba tych wygonić, tych wsadzić, a tamtych dla porządku tylko wylać ze studiów.

Filozof żołnierzem

Z tego urodziła się Nowa Fala, pokoleniowa formacja poetów, publicystów, aktorów, reżyserów, plastyków i muzyków połączonych rosnącą nieprzyjemnością życia w tak zwanej rzeczywistości. Ponieważ nie przyszły jeszcze czasy, kiedy tę niechęć można by zmanifestować, obalając zwyczajnie reżim, pozostało robić to, co Polacy

Czasy były dosyć okropne. Rządził Władysław Gomułka, coraz bardziej obłąkany od swojej beznadziejnej misji zbawiania socjalistycznej Polski

umieli najlepiej od dwóch co najmniej wieków: wojować umownym piórem przeciwko niekończennie umownym czołgom. Zagajewski, z wykształcenia psycholog i filozof, z wyboru poeta, stał się jednym z głównych żołnierzy tej nierównej wojny. Obok Juliana Kornhausera, Ryszarda Krynickiego, Stanisława Barańczaka, Krzysztofa Karaska, Ewy Lipskiej (przepraszam niewymienionych, lista jest długa). Ale, jak się okazało 20 lat później, wojny całkiem skutecznej.

Pierwszy zbiór wierszy „Komunikat” opublikował w roku 1972. Drugi, „Sklepy mięsne”, trzy lata potem. Oba torowały drogę temu, co się nazywało poetyką „mówienia wprost”. Mówić wprost wbrew łatwym skojarzeniom nie oznaczało prząsnej prostoty języka. Chodziło o nazywanie po imieniu sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się wskutek obecności w naszym życiu real socjalizmu.

Przedstawić załgany świat

Głos Nowej Fali stał się słyszalny do tego stopnia, że nienawidząca kłopotów z obywatelami wszechwładna matka Partia podjęła poważny wysiłek uciszenia tego warcholstwa. Miała do dyspozycji zazwyczaj skuteczną broń w postaci cenzury. Nie przewidziała tylko, że zła krew zbierająca się z latami w Polakach uwielbiających swoją legendę jako narodu bitnego i kochającego wolność przekroczy dopuszczalne regulatory i wyleje się na kartki drukowane na nielegalnym powielaczu albo w którejś z wrażliwych drukarni zagranicznych, w Paryżu czy Londynie. Tak powstały w drugiej połowie lat 70. zręby drugiego obiegu.

Zagajewski był już wtedy autorem nie tylko wierszy, lecz także najpoważniejszego literackiego manifestu lat 70. – „Świata nie przedstawionego” (1974) napisanego wspólnie z Julianem Kornhauserem. W szkicach tam zawartych upominali się o świadectwo prawdy w opisywaniu rzeczywistości. I żeby nie uciekać w literackie fikcje, literackie fantazje i czystą sztukę. Program niemal banalny, ale chwycił. Przez prawie dwie kolejne dekady ten model kultury stał się moralnie obowiązujący. A przecież naprawdę nie był to żaden wynalazek mający zmierzać do odkrycia nowych lądów literackich, do rewolucji intelektualnej. To była próba powrotu do zagubionej w magmie socjalistycznych półprawd i uników roli pisarza w zniewolonym społeczeństwie:

*powiedz prawdę do tego służysz w lewej ręce
trzymasz miłość a w prawej nienawiść*

– pisał Zagajewski w słynnym wierszu „Prawda”.

Ni wygnaniec, ni emigrant

Potem historia sama zaczęła się pisać od Solidarności po demokrację, z ciemną przerwą na stan wojenny, podczas którego Adam Z. wyjechał do Paryża, do przyszłej żony, wciąż podkreślając, że nie czuje się ani wygnańcem, ani emigrantem.

Nie polityczna nienawiść przecież tu decydowała, ale miłość do kobiety bywająca motorem nie takich desperacji.

W Paryżu stał się jakby innym Zagajewskim. Mówiono o tym i pisano tu, w Polsce, niekiedy z goryczą. Wyglądało na to, że przestał być wojownikiem o prawa dla upadlanych i okłamywanych, a stał się piewcą świata większego od politycznych reżimów i konieczności wyborów między różnymi rodzajami zła. Zamiast mówić jak niegdyś tylko „nie”, zaczął mówić „tak”: kosom śpiewającym porannym świtem, duchowi gotyku ukrytemu w katedrze, ćmom patrzącym na nas przez zamknięte okno. Odkrył całą wspaniałość i natury, i kultury, wobec których, jak pisał w innym wierszu, czołgi mają rozmiar petitu w przypisach do wierszy Norwida.

Pretensje do wewnętrznej przemiany Zagajewskiego były jednak tylko częściowo uzasadnione. Pomawiając poetę niemal o zdradę ideałów młodości, dyskretnie omijano głęboki i ciemny nurt nadal płynący przez te wiersze. To był ten sam dawny głos na „nie”, tyle że teraz już nie tak bezpośredni i nie tak uwikłany w polskie tylko sprawy. Ten drugi, mroczny, Zagajewski w gwałtownych, ekspresyjnych metaforach zapisywał XX-wieczne dramaty tak pojedynczych ludzi, jak całych narodów. Także metafizyczne lęki wobec niepojętości nieba i piekła, cokolwiek to w takim upraszczającym ujęciu znaczy. Przecież nikt się nie zdziwił, gdy w roku 1994 napisał przejmujący wiersz „Uchodźcy”:

*To może być Bośnia, dzisiaj,
Polska we wrześniu 39, Francja –
osiem miesięcy później, Turynia w 45,
Somalia lub Afganistan, Egipt.*

Zawsze jest wóz, albo przynajmniej wózek,

*wypełniony skarbami (pierzyna, srebrny kubek
i szybko ulatniający się zapach domu),
samochód bez benzyny, porzucony w rowie,
koń (będzie zdradzony), śnieg, dużo śniegu,
za dużo śniegu, za dużo słońca, za dużo deszczu,*

*i to charakterystyczne pochylenie,
jakby w stronę innej, lepszej planety,
mającej mniej ambitnych generałów,
mniej armat, mniej śniegu, mniej wiatru,
mniej Historii (niestety, takiej planety
nie ma, jest tylko pochylenie).*

*Powłóczęg nogami,
idą powoli, bardzo powoli
do kraju nigdzie,
do miasta nikt
nad rzeką nigdy.*

I tylko małoduszni mogliby podejrzewać wypadek przy pracy, gdy właśnie jego wiersz „Spróbuj opiewać okaleczony świat” opublikował „New Yorker” zaraz po 11 września 2001 roku.

Wiersz przecież nieokolicznościowy, napisany rok wcześniej. „I stała się rzecz niezwykła: nowojorczyści zaczęli ten wiersz powielać, przyklejać na szybach swoich samochodów, wieszając na murach, umieszczać na wystawach księgarni. Czerpali z niego pociechę, wzmacniali poczucie wspólnoty w obliczu tragedii” – notowała słowa wieloletniej szefowej działu poezji „New Yorkera” specjalna korespondentka „Przekroju” Renata Gorczyńska uczestnicząca w niebywałym wieczorze polskiej poezji w marcu tego roku w Nowym Jorku. Wieczorze, na który przyszedł ponadtyśięcny tłum Amerykanów, by wysłuchać po angielsku wierszy Miłosza, Szymborskiej, Herberta, Różewicza – i Zagajewskiego właśnie, jedynego obecnego tam osobiście. Było to spotkanie triumfalne, podkreślające nadzwyczajną estymę, jaką cieszy się polska poezja także w Stanach, gdzie przecież nie brakowało i nie brakuje poetów.

Z Paryża do Krakowa

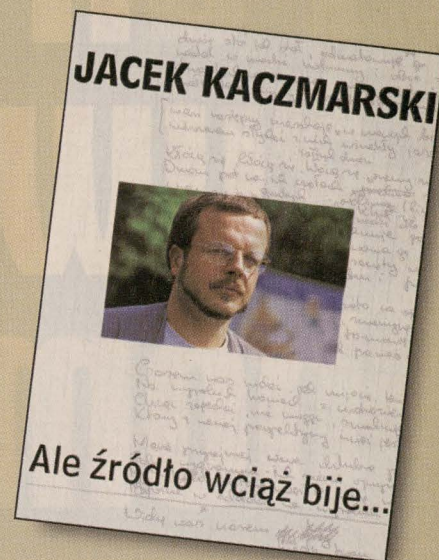
Może to był też największy osobisty triumf Zagajewskiego. A może wszystko jeszcze przed nim. Wydał jak dotąd siedem tomów wierszy, trzy powieści, trzy tomy esejów. I także trzy tomy szkiców literackich. Prawie wszystkie tłumaczone na wiele języków. Międzynarodowych nagród literackich, wiele prestiżowych, ma tyle, ile nie jeden generał sowiecki orderów.

Kiedy wyjeżdżał, był jeszcze młodym poetą, którego nazwisko wiązano przede wszystkim z intelektualną opozycją i literaturą usiłującą walczyć z komunistycznym lewiatanem. Wraca jako światowej już sławy pisarz zapraszany na spotkania autorskie, sympozja literackie i wykłady od Sztokholmu po Boston. To, że wraca, oznacza, iż droga na zajęcia ze studentami w Teksasie nie jest już bliższa z Paryża niż z Krakowa. I to jest w porządku, jeśli chodzi o nasze narodowe samopoczucie.

A co z jego osobistym samopoczuciem? Paryż jest wspaniale gościnnym miastem, ale nie-Francuz we Francji zawsze będzie tylko nie-Francuzem, ptakiem przelotnym, którego się nakarmi, ale nikt nie będzie po nim płakał, kiedy odleci. Więc powrót po prostu do gniazda, gdzie wystarczy podnieść słuchawkę telefonu albo wyjść na Rynek, by znaleźć się w naturalnym żywiole ojczyzny-polszczyzny? Nie z innych powodów zamieszkał w Krakowie Miłosz... Przyjmijmy, niezależnie od innych możliwych przyczyn, że ta była wystarczająca. A kafejki na krakowskim Rynku nie wyglądają już gorzej niż na Montparnassie.

Prywatnie o tyle się cieszę, że mój przyjaciel będzie teraz mieszkał nie pięć przystanków autobusowych ode mnie, ale przez podwórkę – z okna kuchni widząc okna mieszkania państwa Zagajewskich.

TADEUSZ NYCZEK



wyбір utworów dokonany przez Autora,
584 strony, oprawa twarda, płótno,
obwoluta, zdjęcia, format 210 x 297 mm,
cena: 99,90 zł
cena specjalna z rabatem: 89,90 zł

Nowy, najpełniejszy
wyбір wierszy,
ballad i piosenek
Jacka Kaczmarskiego

Specjalnie dla Czytelników
„Przekroju” 10% rabatu

10% ze sprzedaży każdego egzemplarza książki
przeznaczamy na Fundusz Jacka Kaczmarskiego
Aby zamówić książkę, wypełnij kupon, wytnij
i naklej na kartę pocztową i wyślij na adres:

Wydawnictwo Marabut,
Zielony Stok 35 A, 80-119 Gdańsk.

Imię _____ nazwisko _____

kod pocztowy _____ miasto _____

telefon _____

Zamawiam _____ egz. książki J. Kaczmarskiego *Ale źródło wciąż bije...*
i zobowiązuję się do zapłaty za zamówione egzemplarze.
Płatność za pobraniem pocztowym przy odbiorze przesyłki.

Pan żywych bomb

BEATA PAWLAK

Niewidzący, niedołączny, przygłuchy starzec z bezwładnymi rękami i nogami zadaje najbardziej mordercze ciosy znienawidzonemu Izraelowi straszną bronią – samobójcami Hamasu

Starzec o surowej twarzy, z siwą brodą, w bieli. Siedzi na wózku inwalidzkim, ręce bezwładnie opuszczone na kolana, przykryty kocami. To on sprawuje rząd dusz w Palestynie. To z jego organizacji rekrutuje się większość zamachowców samobójców siejących terror na izraelskich ulicach.

Szejk Ahmed Jassin ma 65 lat, ale wygląda starzej. Nie rusza nogami, rękami, jest prawie głuchy i niedowidzi. Mówi cichym, wysokim głosem. Mimo to cieszy się niesłychaną charyzmą wśród tysięcy młodych Palestyńczyków, a od wybuchu we wrześniu 2000 roku drugiej intifady – palestyńskiego powstania – liczba jego zwolenników rośnie.

To on stworzył Hamas – palestyńską organizację, z której wywodzi się większość zamachowców samobójców. – Walczą o sprawę – mówił o palestyńskich kamikadze. – Kochają swoje życie, ale wybierają życie inne, w niebie, u boku Boga i jego proroków.

Mieszka w dwupokojowym mieszkaniu w Gazie. Opiekują się nim liczni pomocnicy. Jeden wozi go na wózku inwalidzkim, karmi i mu czyta. Inni prowadzą sekretariat i odbierają za niego telefony. Do jego domu przychodzą tłumy Palestyńczyków, by poradzić się i oddać hołd.



Pogoda dla ekstremistów

Wymarzona Palestyna nie jest zbyt piękna. Gazę zwą cmentarzy-skiem. Zachodni Brzeg to pięć tysięcy kilometrów kwadratowych kamienia. Nie ma gazu ani ropy naftowej. Gdy jednak w roku 1993 podpisywano porozumienie pokojowe, młodzi Palestyńczycy byli pełni nadziei.

– Nasz naród jest ambitny, dynamiczny – mówił mi wtedy z zapalem Albert Agazarian, palestyński historyk. – Gdy tu przyjdą pieniądze, Palestyńczycy będą wiedzieli, co z nimi zrobić.

– Nowe pokolenie młodzieży zupełnie nie interesuje się polityką. Chce się cieszyć życiem – opowiadał mi pięć lat później Khader Musleh, psycholog. – Młodzi są materialistami i indywidualistami. Chcą się pięknie ubrać i mieć dobry samochód.

Marzyli wtedy o zwykłym życiu, studiowali, mieli ambicje. – Nasze oczekiwania były wysokie – myśleliśmy, że będziemy mieć pokój, własne państwo i silną gospodarkę. Nie mamy nic – żalił się Khader Musleh.

Proces pokojowy się ślimaczył. Pieniądze z zagranicy nie nadchodziły. Bezrobocie rosnęło, przekraczając 40 proc. Uchodźcy wciąż mieszkali w obozach. Przejście granicy z Izraelem to gehenna. Ktoś, kto mieszkał w Betlejem i nie miał odpowiedniego papierka, nie mógł jechać do meczetu w Jerozolimie ani na lotnisko do Tel Awiwu, ani odwiedzić kuzynów w Gazie, ani nawet nie mógł opuścić własnego miasta. A gdy po każdym zamachu Izrael zamykał granicę, wtedy bezrobotnych było jeszcze więcej.

– Ta sytuacja jest dobra dla fundamentalistów, ekstremistów. Korzystają z tego, żeby przyciągnąć do siebie niezadowolonych. Na początku procesu pokojowego poparcie dla Hamasu poszło w dół, potem zaczęło rosnąć – mówiła mi w roku 1998 Hanna Siniora, znana palestyńska dziennikarka.

Wzrosło jeszcze bardziej po wybuchu drugiej intifady. Cały świat obiegił wtedy obraz: ojciec ucieka pod ścianą, skulony, przerażony, trzymając w ramionach zabitego synka. Każdy kolejny dzień przysparzał Hamasowi sympatyków.

Cudowne uwolnienie z więzienia

W oczach zwolenników szejka Ahmed Jassin uosabia twarde i jednoznaczne stanowisko: żadnych układów z Izraelem, walczyć przeciwko okupacji do końca. – Jest odważny, pobyt w więzieniu go nie zmienił. Ludzie to szanują – mówi pewien polityk palestyński na uchodźstwie w Polsce.

Jassin przesiedział w izraelskim więzieniu osiem lat skazany w roku 1989 na dożywocie. Wyliczono mu osiem przestępstw, w tym udział w zabójstwie czterech Palestyńczyków podejrzanych o kolaborację z Izraelem oraz w porwaniu i zabójstwie dwóch izraelskich żołnierzy. „Historia wam nie przebaczy, a Bóg nas wszystkich osądzi” – powiedział po ogłoszeniu werdyktu.

Być może do dziś siedziałby za kratkami, gdyby nie nieudany zamach w stolicy Jordanii Ammanie na jednego z przywódców Hamasu. Dwaj agenci Mossadu udający turystów kanadyjskich zaatakowali Palestyńczyka na ulicy i wstrzyknęli mu truciznę do lewego ucha. Zostali złapani. Rozsierzony król Jordanii zadzwonił do premiera Izraela i zagroził, że zerwie zawarty z nim wcześniej

układ pokojowy. W zamian za uwolnienie agentów Tel Awiw zgodził się wypuścić Ahmeda Jassina i 60 innych więźniów.

Był to rok 1997. Na stadionie w Gazie szejka Jassina witał rozentuzjzmowany tłum, a ściany jego domu ozdobiono powitalnymi graffiti.

Wkrótce potem sparaliżowany szejka odbył tournée po krajach arabskich. Przyjmowano go tam jak głowę państwa. Na dobroczyn-

ną działalność Hamasu zebrał wtedy dziesiątki tysięcy dolarów.

Fatalny skok

Urodził się we wsi Jura w pobliżu – dziś izraelskiego – miasta Aszkelon, w czasach gdy rządili tam Brytyjczycy, jako jedno z dziewięciorga dzieci. Jego ojciec był miejscowym notabłem, miał cztery żony i spory kawał ziemi, który pozwalał

na utrzymanie licznej rodziny. Kiedy Jassin miał cztery lata, ojciec zmarł i, jak to się dzieje w rodzinach palestyńskich, obowiązki ojcowskie przejął starszy brat chłopca.

Do 14. roku życia był zdrowy. Któregoś dnia, grając w piłkę nożną, niefortunnie przeokoziłkował, spadł na głowę i złamał kręgosłup.

Mieszkał już wtedy w obozie uchodźców palestyńskich w Strefie Gazy, wówczas jeszcze pod kontro-

CZARNA STATYSTYKA

● Od początku roku palestyńscy zamachowcy dokonali w Izraelu 25 ataków bombowych – najwięcej przeprowadziły Brygady Męczenników al Aksa (8) i Hamas (7)

● Od stycznia 2002 roku w zamachach zginęło 175 osób, a 368 zostało rannych

● Politykę zamachów samobójczych na izraelskich cywili popiera 70 proc. Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy

● Budżet Hamasu ocenia się na 40–70 milionów dolarów. 85 proc. funduszy pochodzi z zagranicy – głównie z Iranu (20–30 milionów), od prywatnych darczyńców z krajów Zatoki Perskiej i od Palestyńczyków żyjących na emigracji. 15 proc. środków Hamas zbiera na miejscu

lą Egiptu. Uciekł tam ze swoją rodziną w czasie wojny arabsko-izraelskiej 1948 roku. Jego wioskę zrównano z ziemią. „Nie nienawidzimy Żydów jako Żydów. Nie zwalczamy Żydów jako Żydów. Zwalczamy ludzi, którzy odebrali nam nasze prawa i naszą ziemię” – mówił po latach w jednym z wywiadów.

Mimo paraliżu Jassin skończył szkołę, zarabiając na życie korepetycjami. Był nauczycielem literatury arabskiej i religii, potem wyjechał na studia do Kairu. Tam poznał fundamentalistów z Bractwa Muzułmańskiego; ich ideałem jest utworzenie państwa islamskiego i życie zgodne z islamem. Jassin postanowił przeszczepić te idee do Gazy.

Strefa Gazy dostała się już wtedy – w wyniku wojny w roku 1967 – pod okupację Izraela. Ten skrawek ziemi tuż nad Morzem Śródziemnym był i jest do dziś wielkim



FOT. SIPA/EAST NEWS

Szejek Jassin na konferencji prasowej przed przeprowadzką do Gazy 5 października 1997 roku



FOT. GETTY IMAGES/EAST NEWS

8 maja: pomocnicy Jassina obmywają swojego mistrza przed modłami. Dzień wcześniej w zamachu Hamasu zginęło 15 Izraelczyków

obozem uchodźczym: na 360 kilometrów kwadratowych żyje ponad milion osób, większość to uchodźcy, którzy często od dziesiątków lat gnieźdzą się w rudarach. Tu się nie żyje – tu czeka się na jakieś inne życie. To dobry grunt dla idei fundamentalistycznych – w ogólnej beznadziejności przynoszą jakąś nadzieję.

Ale czas na powrót do religii miał dopiero nadejść. Na początku lat 70. Palestyńczycy zapatrzeni byli w innego przywódcę – Jasera Arafata. A ten nie zawracał sobie głowy islamem.

Bomby i sierocińce

Początkowo Jassina zajmowały jedynie sprawy ducha oraz pomoc socjalna dla najbiedniejszych. Izrael dyskretnie go popierał, widząc w nim przeciwwagę dla potężnego wówczas Arafata.

To nie podobało się Palestyńczykom zaangażowanym w walkę przeciwko okupacji. Zaczęli oskarżać szejka o współpracę z wrogiem. Jassin musiał zmienić sposób działania.

Po raz pierwszy został zatrzymany w roku 1984 – za przemyt broni i materiałów wybuchowych. Skazany na 13 lat więzienia odsiedział rok.

W roku 1987 wybuchła pierwsza intifada. Nastoletnie wyrostki z kamieniami w rękach stanęły przeciwko opancerzonym samochodom i uzbrojonym po zęby żołnierzom izraelskim. Jassin wykorzystał chwilę, by założyć Islamski Ruch Oporu – Hamas – który wkrótce stał się najważniejszą palestyńską organizacją islamską. Dziś na ulicach Gazy wiszą portrety dwóch przywódców: Arafata i Jassina.

Hamas to potężna organizacja z własną stacją telewizyjną i gazetą, a także siecią banków, szkół,



FOT. YOSHI ZAMIR/UTENSIL FORUM

Jerozolima, 18 czerwca: w tym autobusie poniosło śmierć 19 Izraelczyków. Zamachowiec samobójca z Hamasu zdetonował bombę na przystanku przy ruchliwym skrzyżowaniu na przedmieściach miasta. Na zdjęciu: policjanci tuż po wybuchu dokonują oględzin zwłok kierowcy

czytelni, sierocińców, jadłodajni, przychodni, w których biedni mogą się leczyć za darmo. Działa w niej około 1200 aktywistów. Tysiące rodzin otrzymują od Hamasu cukier, mąkę, ryż, herbatę, puszki, ubrania dziecięce, podręczniki szkolne i pieniądze. Rodzice chętnie posyłają dzieci do szkół prowadzonych przez Hamas. Jedną z takich placówek oświatowych w Ramallah opisał „Washington Post”: w klasie jest 10–12 uczniów, od początku mają język angielski, informatykę i lekcje taekwondo oprócz, rzecz jasna, nauczania Koranu.

Ale Hamas ma też skrzydło wojskowe – tak zwane Brygady imienia Izzedina al-Kasama. Szkoli się w nich około 200 osób, zazwyczaj wypatrzonych w klubach sportowych.

„Jedyny język, jaki rozumieją Izraelcy wrogowie, to język siły i konfrontacji – mówił szejek. – Zasady islamu zabraniają nam atakowania osób cywilnych, ale Izrael-

czyty jako pierwsi pogwałcili tę zasadę, zabijając kobiety, starszych, dzieci”.

Zamachowcy detonują wypełnione gwoździami i odłamkami metalu bomby na ulicach i w samochodach, rozrywają się w atakach samobójczych w autobusach i kawiarniach. Decydują się na samobójczy atak mniej może porwani wizją pięknych hurys czekających w raju, a bardziej przekonaniem, że spełniają bohaterski czyn. A także obietnicą dożywotniej renty, którą po ich śmierci otrzyma rodzina.

Każdy ich zamach spotyka się z izraelską ripostą: ataki na przywódców Hamasu, zamykanie granicy, burzenie czołgami i buldożerami domów Palestyńczyków.

Areszt domowy

Arafat zajmuje dwuznaczne stanowisko wobec Hamasu. Tel Awiw

wielokrotnie żądał od niego, żeby zamknął w więzieniu terrorystów. Arafat się nie śpieszył. Obawiał się opinii publicznej, lecz także, trzymając Hamas w odwodzie, mógł nim szachować Izrael. Mógł wskazywać palcem: popatrzcie, jeśli nie dogadacie się ze mną, to będziecie musieli rozmawiać z Hamasem. A wiadomo przecież, że z Hamasem się nie rozmawia.

Po zeszłorocznym zamachu na WTC Waszyngton postanowił rozprawić się nie tylko z Osamą ben Ladenem, lecz także z terroryzmem w ogóle. Na amerykańskiej czarnej liście znalazł się również Hamas. Zażądano od Arafata, żeby wreszcie rozprawił się z jej członkami. Szef Autonomii Palestyńskiej uległ presji Izraela i USA. Nie tylko uwięził dziesiątki działaczy Hamasu, ale zamknął też wiele związanych z nim organizacji dobroczynnych, klubów sportowych,

banków. – Przyszli policjanci, zażądali klucza, zamknęli nim drzwi do redakcji, a klucz złamali w zamku – skarżył się prasie dziennikarz jednej z gazet związanych z Hamasem.

Kiedy w grudniu policjanci palestyńscy przybyli pod dom Jassina w Gazie, żeby go osadzić w areszcie domowym, minarety w całym mieście zagrzmiały: „Uwaga, uwaga! Do wszystkich członków Hamasu. Przybądźcie ratować szejka Ahmeda Jassina”. Zbiegli się młodzi Palestyńczycy, otoczyli dom, zbudowali barykady, podpalili samochody i obrzucili policję kamieniami. Rozegrała się prawdziwa bitwa, zginęła jedna osoba, byli ranni.

Ciekawe, że Jassin uważany jest za jednego z bardziej umiarkowanych przywódców Hamasu. W przeszłości obiecywał, że jego organizacja wstrzyma zamachy



Palestyńscy chłopcy z obozu uchodźców w Nuseirat w Strefie Gazy pod portretem szajka Jassina. 26 czerwca 2001 r. do Nuseirat zjechało pięć tysięcy zwolenników Hamasu

Towarzysze broni: przywódca Autonomii Palestyńskiej Jaser Arafat w odwiedzinach u szajka Jassina

→ samobójcze, jeśli Izrael przestanie burzyć domy Palestyńczyków i przejmować ich ziemię. Mówił też: „Jeżeli Izrael całkowicie wycofa się z Zachodniego Brzegu Jordanu i Strefy Gazy i usunie stamtąd wszystkie swoje osiedla, zawrę z nim rozejm. Macie na to moje słowo”. W maju, gdy izraelska armia po raz kolejny wkroczyła na terytorium arabskie, Hamas apelował do palestyńskiej młodzieży, aby powstrzymywała się od daremnej walki z izraelską armią. „Wasze życie jest zbyt cenne dla przyszłości Palestyny, aby je poświęcać” – odezwę Hamasu odczytano we wszystkich meczetach Zachodniego Brzegu.

Inni przywódcy Hamasu są o wiele bardziej radykalni. Walczą



o Palestynę nie tylko na ziemiach okupowanych, lecz na całym terenie dzisiejszego Izraela.

W niektórych oświadczeniach Jassin był jednak bardziej wojowniczy i z tego powodu nieraz zarzucono mu podwójny język.

Od czasu grudniowych zamieszek pod domem Jassina naciskany przez Izrael Arafat kilkakrotnie nakładał na niego areszt domowy. Ostatni raz w ubiegły poniedziałek po samobójczych zamachach w Jeruzolimie. Jednak palestyńska policja trzyma się z daleka od rezydencji Jassina. Nic dziwnego, że nie ma odwagi podejść bliżej: ostatnie sondáže pokazują, że Hamas cieszy się trzykrotnie większym poparciem niż al Fatah Jasera Arafata. Dlatego aresztu domowego lidera Hamasu pilnują uzbrojeni członkowie jego własnej organizacji.

BEATA PAWLAK

Pamięć tkwi w bebechach

Austriaccy artyści brutalnie prowokują, żeby obnażyć zakłamanie swoich rodaków



„Pianistka”, reż. Michael Haneke

Za oknami samochodu przesuwają się kolorowe *billboardy*, szklane pałace centrów handlowych, świątynie kapitalizmu. Chora na autyzm Anna z przedmieścia złapała okazję i może się kawałek przejechać. Z nieba leje się żar: to kanikuła, po niemiecku *Hundstage*, słońce stoi w gwiazdozbiornie Psa. Anna recytuje reklamy telewizyjne, składniki kielbasy ekstra, śpiewa pieśni religijne i zadaje prowokacyjne pytania: „Popuszczasz w majtki?”, „Masz jeszcze okres?”, „Dupczysz się jeszcze?”. I dopiero wtedy zostaje z powrotem wyrzucona na rozgrzany asfalt.

Określenie „kino austriackie” do niedawna nikomu nic nie mówiło. Znani aktorzy – Romy Schneider, Klaus Maria Brandauer – zasłynęli bynajmniej nie dzięki rodzimej kinematografii. Po niedawnych sukcesach obsypanej nagrodami w Cannes „Pianistki” Michaela Hanekego i wyróżnionej Wielką Nagrodą Jury w Wenecji „Kaniukuły” („Hundstage”) Ulricha Seidla, a także kilku innych filmów zauważonych za granicą – prasa rozpisuje się o „austriackim cudzie”. Podczas niedawnego Diagonale (festiwal filmu austriackiego) w Grazu podkreślano, że „cud”, którym chętnie Republika się chlubi, to dzieło kilku indywidualistów zmuszonych nierzadko z powodu braku subwencji do niskobudżetowych produkcji, a w związku z tym do posiłkowania się amatorami.

Co łączy burżuazyjne salony, gdzie konsumuje się tak zwaną wysoką sztukę jako przystawkę do łososa („Pianistka”), z klaustrofobią ukrytych za równo przystrzyżonym żywopłotem domków jednorodzinnych („Kaniukuła”) i milczącą brutalnością blokowiska

(„Nordrand” Barbary Albert)? Wszystkie przekraczają granice „przedstawialności” i szokują brutalnymi obrazami: seks grupowy, samokaleczenie, intymna przemoc, fizjologia. Kłębowski emocji zamiast zgrabnie opowiedzianej historii. Okrzyknięto to zjawisko austriackim neorealizmem, jednak masochizm w bezlitosnym zaglądaniu w otchłanie ludzkiego piekła i swoista dekadencja tych filmów wierne są austriackiej tradycji.

Spocone ciała smażące się w słońcu, rozpięte na leżaku niczym na krzyżu. *Ecce homo*: żyłaki, podgardla, sztuczne szczęki. Z ust chlusta potok mowy dzikiej, przeczącej zasadom gramatyki, jakby język był wściekłym zwierzęciem gnieźdzącym się w trzewiach. Estetyka brzydoty, doświadczenie *katharsis* poprzez zanurzenie się w tym, co do bólu ludzkie, odradzające, niechciane; „Kanikuła”, najradykalniejszy z tych filmów, przywodzi na myśl dzieła akcjonistów wiedeńskich i teatr Wernera Schwaba. Scena, w której Viki o wyglądzie sułtanaa kłęczy z opuszczonymi spodniami i wnetkniętą między pośladki płonąącą świecą, steroryzowany przez pijanego kolegę śpiewa hymn austriacki („Ojczyznę jesteś wielkich synów...”), jest jawnym nawiązaniem do słynnego *happeningu* akcjonistów na Uniwersytecie Wiedeńskim (1968): artyści wypróżniali się i onanizowali, śpiewając hymn państwowy.

„Pamięć tkwi w bebechach” – pisał Schwab, autor głośnych „Prezydentek”. Jedna z bohaterki sztuki, Maryjka, czyszcząca zapchane „ludzką gnojówką” ustępy i ofiarowująca tę pracę Panu Jezusowi, mogła w połowie lat 90. spełniać swą zbawczą misję na deskach naro-

dowej sceny austriackiej Burgtheater. Innego losu doświadczyli akcjonisci w latach 60.: autodestrukcja i publiczna koprofagia wywołały w konserwatywnym społeczeństwie szok, którego skutki trwają do dziś. O ile jednak sam akcjonizm dawno już uhonorowano prestiżowymi wystawami na świecie, a dzieła jego protagonistów zdobią zbiory Metropolitan Museum i Centre Pompidou, w Austrii nadal traktuje się go jako zjawisko wstydlive.

Bo Austria ma problemy z pamięcią. To jej specjalność dająca skądinąd napęd sztuce. I wszystko jedno, czy będzie to katolickie wypieranie się własnej cielesności, czy też trwająca dziesięciolecia społeczna amnezja dotycząca współudziału Austrii w zbrodniach nazizmu (umożliwił ją status „pierwszej ofiary Hitlera”).

Impet „wypruwania wnętrza” to według psychoanalizy (która, jak mówią, nieprzypadkowo narodziła się w Wiedniu) odreagowanie zakłamej rzeczywistości skurczonej do pocztówki z sielskim krajobrazem alpejskim, czekoladki z Mozartem i baśniowo-sentymentalnego kiczu serwowanego zamiast historii. W „Kaniukule” niewinna autystka prowokuje „przywoitych” ludzi, aż w końcu ściąga na siebie ich gniew, w którym wyładowuje się cała frustracja zakłamego społeczeństwa.

Leczenie, jak mawiał Freud, w końcu Austriak, trzeba zacząć od ujawnienia źródeł choroby. Kiedy zawiedli politycy, funkcję lekarzy wzięli na siebie artyści: filmowcy, malarze, dramaturdzy. To może najciekawsza przygoda Austrii z samą sobą na przełomie stuleci.

MONIKA MUSKAŁA

KONRAD T. LEWANDOWSKI
OLGA WOŹNIAK

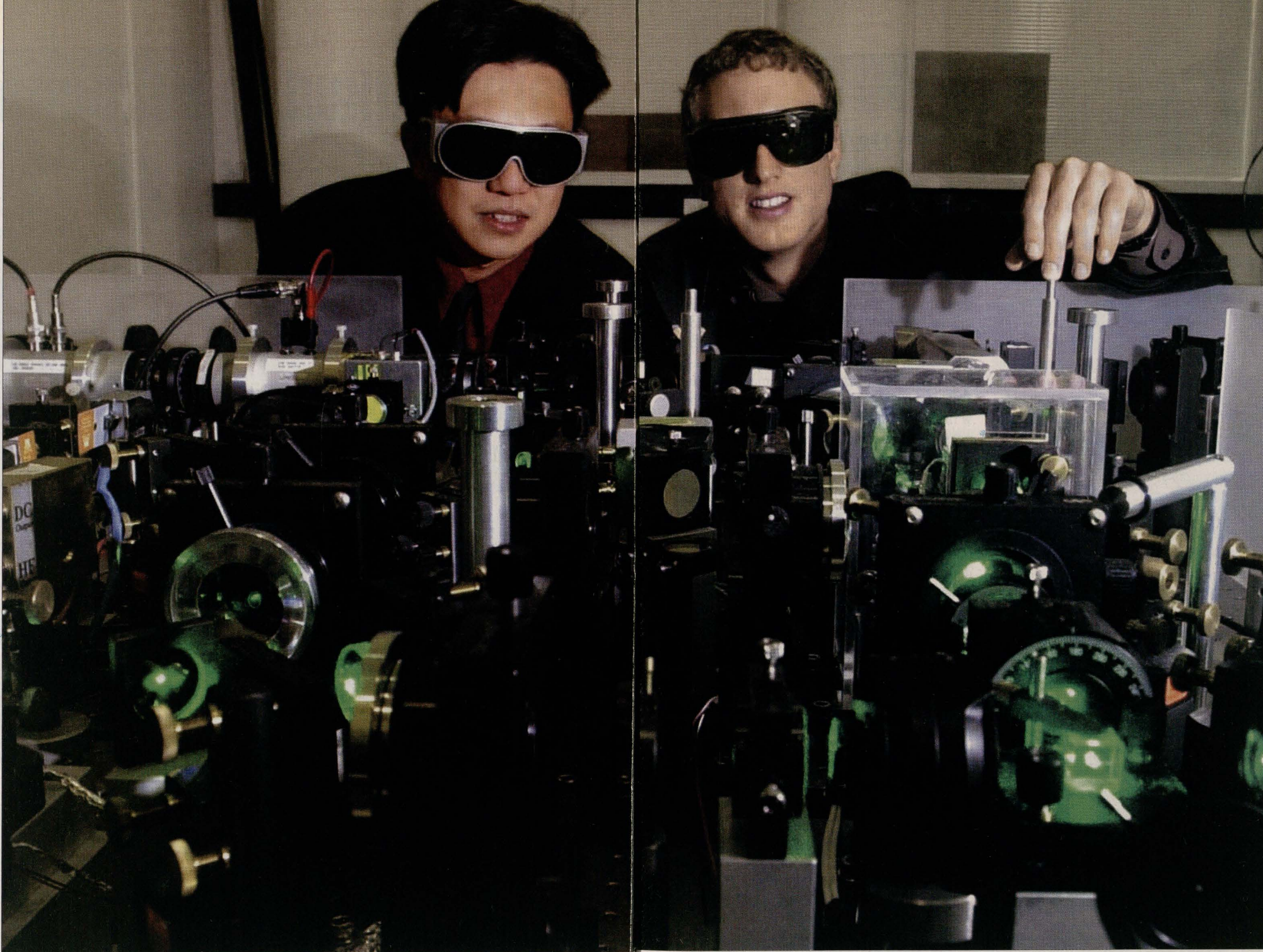
Chciałbyś w jednej chwili teleportować się na Karaiby? Kto by nie chciał? Ja. A przynajmniej poważnie się zastanawiam, czy chcę, by zamiast steleportowanego mojego ciała drinka z parasolką sączył pod palmą mój doskonały klon...

Teleportowano światło lasera. Sztuka ta udała się fizykom z Australijskiego Uniwersytetu Narodowego (ANU) kierowanym przez dr. Ping Koy Lama. Promień lasera unicestwiono na jednym stole laboratoryjnym i w tym samym momencie zaistniał na stole sąsiednim, metr dalej. Fakt, że był to ten sam promień lasera, stwierdzono, odczytując informację zakodowaną w nim przed teleportacją. (Jaka to była informacja? Nie podano. W ogóle niewiele powiedziano). Kiedy przed kilkoma dniami ogłoszono tę wiadomość, wielu z nas pomyślało pewnie, że oto ziszczają się wizje, którymi od lat karmią nas twórcy *science fiction*.

Przed oczami stają od razu sceny z filmów takich jak „Star Trek”, „Mucha” czy „Gwiezdne wrota”. Powracają słowa opowiadań z „Dzienników gwiazdowych” Stanisława Lema. Tylko chwila, wydaje się, dzieli nas od tego, że za dotknięciem jednego przycisku czy wejściem do odpowiedniej kapsuły będziemy przenosić się w dowolnie wybrane miejsce. Teoretycznie. O ile oczywiście przyjmiemy, że „chwila” to pojęcie względne i może trwać dziesiątki lat, oraz pogodzimy się z myślą, że w docelowym miejscu podróży po teleportacji znajdziemy się wcale nie my, ale nasze idealne kopie. Entuzjazm osłabł? Zaraz to wytłumaczę.

Podróż do łyżki

Pierwsze doniesienia o udanych próbach teleportacji pochodzą z grudnia roku 1997. Wtedy naukowcy z uniwersytetów w Inns-



To maszyna do teleportacji. Dr Ping Koy Lam (z lewej) z jej pomocą teleportował światło

Nasza mała teleportacja

brucku i Rzymie oznajmili, że udało im się teleportować pojedynczy foton. Jak? Nie, nie przeniesiono go z jednego miejsca w inne za pomocą jakiegoś urządzenia. Nic takiego.

Okazuje się, że teleportacja nie polega na transporcie materii, ale na... przesyłaniu informacji o niej. Zatem tak naprawdę to, co udało się naukowcom, to przenieść właści-

wości pojedynczego fotonu na drugi. Ponieważ zaś fotony nie mają indywidualnej tożsamości, przeniesienie właściwości jest tożsame z przeniesieniem samej cząstki. To jedna z wielu zaskakujących zasad mechaniki kwantowej przyporządkujących o zawrót głowy zarówno laików, jak i specjalistów, nie wyłączając samego Alberta Einsteina. Trzeba

przynajmniej, że dokładał on wielu starań, by wykazać niedorzeczność tej dziedziny fizyki.

No, dobrze, zapytacie pewnie, foton fotonem, ale jak to będzie z teleportowaniem człowieka? Czy będzie to możliwe? – Może, ale za wiele, wiele lat. – A jak?

Istotę rzeczy postaram się wytłumaczyć na przykładzie... aluminiowej łyżki. Brzmi

dziwnie? Otwórzcie umysły! Spójrzcie na łyżkę nie jako na przedmiot użytkowy, ale jako na byt fizyczny. Zanurczcie się w jej strukturę. To zależy tylko od was. Pamiętajcie „Matrix”? Wyjdźmy z niego. Łyżka nie istnieje. Trochę odwagi – wejdźmy między jej atomy. Trzymajcie się, schodzimy jeszcze głębiej – do kwantów...

Przepis na teleportację

Wszystko, co nas otacza, nawet światło, składa się z cząsteczek. Cząsteczki te charakteryzują się dwoma podstawowymi właściwościami: mają określone cechy i połączone są w odpowiednią strukturę według określonych reguł. Mówiąc prościej – są w odpowiedni sposób „sklejone”. Aluminiowa łyżka na przykład składa się z ogromnej liczby atomów metalu o określonych cechach złożonych tak, by przybrały postać łyżki. Spróbujemy ją teleportować. Na razie musimy użyć wyobraźni – w praktyce bowiem jak dotąd największym teleportowanym „obiektem” była wspomniana na wstępie wiązka światła lasera.

Jak się zabrać do teleportacji? Po pierwsze, musimy wiedzieć, jakie właściwości ma tworzywo przedmiotu, który chcemy teleportować. Nasza łyżka zrobiona jest z atomów aluminium. Musimy jednak zejść do poziomu znacznie niższego niż atom. Musimy poznać budowę kwantową tego metalu. Naukowcy używają do tego różnych technik, ale – jak mawia mój znajomy fizyk – nawet wysokiej klasy specjaliści są w stanie wytłumaczyć tylko za pomocą matematycznych wzorów. Słowa są zbyt toporne dla kwantów. Ustalmy więc, że w jakiś skomplikowany sposób badamy właściwości łyżki.

Co robimy dalej? Musimy zgromadzić taką samą liczbę dokładnie takich samych atomów jak w łyżce. Po co? Cóż, do pustego i Salomon nie teleportuje. Szczegóły potem. Teraz skombinujcie te atomy aluminium. Już? Dokładnie tyle samo co w łyżce? Świetnie! Jak jednak sprawić, by były identyczne jak w łyżce? I na to jest sposób. Naukowcy nazywają go splątaniem.

Przystępujemy więc do splątania atomów. Najpierw trzeba dobrać je w pary. Jeden, który mamy „luzem”, przysuwamy najbliżej, jak się tylko da, do wybranego atomu „łyżkowego”, którego cechy ma przejąć. O! Coś zaczyna się dziać! Dwa atomy zaczynają ze sobą oddziaływać, wymieniają się informacjami, zaprzyjaźniają, a w końcu tak przywiązują się do siebie, że łączą je niemal „braterstwo dusz”. Tak są sobie bliskie, że jeden wie o wszystkim, co robi ten drugi. Stają się braćmi bliźniakami połączonymi więzią, którą najbardziej obrazowo można by nazwać telepatyczną. Jest ona tak silna, że nawet kiedy rozłączymy splątane atomy – jeden dokładnie „wie”, co dzieje się z drugim. Co więcej, jeden zachowuje się dokładnie tak jak drugi, reaguje tak jak on. W bajkach możemy znaleźć wiele przykładów takich magicznych więzi, ale żeby rzecz dotyczyła tak poważnej nauki jak fizyka? To właśnie strasznie irytowało Einsteina w fizyce kwantowej – te oddziaływania między cząsteczkami nazywał wręcz upiornymi. Nie przejmujemy się

CANBERA TIMES/GRAHAM TUDYRE/TECHFORUM

jednak upiorami fizyków – wróćmy do eksperymentu.

Gdy już splączemy tak wszystkie atomy z łyżki z atomami „luzem”, mamy następujący stan: łyżkę i bezładną masę atomów, które „mentalnie” już są tą łyżką, bardzo chcą nią być. Mają już wszystkie cechy łyżkowych atomów, jednak nie wiedzą, jak się ze sobą połączyć, by utworzyć odpowiednią strukturę.

Dopiero teraz można przystąpić do właściwej teleportacji. Naszą bezładną „łyżkową” masę układamy w miejscu, gdzie chcemy przenieść łyżkę. Powiedzmy – na podłodze.

Za pomocą dość skomplikowanych technik szczytujemy teraz z naszej łyżki wzór, według którego „zlepione” są jej cząstki – to się nazywa jej stan kwantowy. Tę informację za pomocą drogi radiowej przesyłamy na podłogę – odpowiednie urządzenie przekazuje ją czekającemu tam atomom. Co się dzieje?

Na podłodze leży prawdziwa aluminiowa łyżka! Taka sama, która leżała przed chwilą na stole. Taka sama?

Kopia czy oryginał?

Ta sama. Ta, która leżała na stole, zniknęła. Rozpadła się w atomowy pył. Przestała istnieć. Ta, którą mamy, jest w zasadzie idealnym klonem, ale pierwowzoru nie ma. Więc w zasadzie mamy oryginał. Z takim samym wyszczerbieniem z prawej strony. Dlaczego tak się stało? Dlaczego nie mamy dwóch łyżek? Czy w ten sposób możemy sobie sklonować cały komplet? Odpowiem twardo i zdecydowanie: nie. Decyduje o tym jedno z praw mechaniki kwantowej. Mówi ono: nie można sklonować stanu kwantowego jakiegoś bytu. Nie można mieć wielu jego klonów. Nie można mieć dwóch łyżek o takich samych cechach kwantowych. Stan kwantowy bowiem jest czymś tak ulotnym i delikatnym, że jakakolwiek ingerencja w niego – a taką jest przecież odczytywanie informacji o właściwościach łyż-

ki – zmienia go i zarazem niszczy. A więc badając, jak połączone są ze sobą cząsteczki łyżki, skazaliśmy ją na unicestwienie. Pozostała nam pamięć o tym, jaka była. Zapisana na twardym dysku komputera w postaci szeregu jedynek i zer. Tak oto schwytaliśmy „duszę” łyżki. Cechy, które stanowiły o jej niepowtarzalności. A nie mogą przecież na świecie przebywać dwie istoty o tej samej duszy...

Podsumowując: teleportacja nie polega na przesyłaniu materii. Jej istotą jest przesyłanie informacji o materii, ściślej – informacji o stanie kwantowym obiektu; bez niej niemożliwe jest odbudowywanie pierwotnych jego cech.

Wracając zaś do pytania o możliwość teleportacji człowieka, odpowiadam teraz: by móc się teleportować, musielibyśmy zebrać zylion atomów (zylion to jedynek z 27 zerami) – z tylu bowiem składa się człowiek. Musiałyby być identyczne z tymi, które budują naszą istotę. By się takimi stały, trzeba by je spłacać z własnymi atomami. Potem zaś umieścić je tam, gdzie chcemy się znaleźć, na przykład w Nowym Jorku. A następnie rozpaść się, powiedzmy, w Kuluszkach i odtworzyć na nowo w okolicy Statuy Wolności. Straszne?

Trochę.

Za wcześniej jednak na obawy. Jak dotąd naukowcom udaje się teleportować jedynie fotony. – Nim komuś uda się sztuczka z pojedynczymi atomami, miną najmarniej trzy lata. Perspektywa przemieszczania w ten sposób skomplikowanych organizmów jest nieporównanie bardziej odległa – mówi Ping Koy Lam, który dopiero co teleportował promień lasera.

Choć to doniosły eksperyment, sami naukowcy na razie niewiele o nim mówią – wydali tylko krótkie oświadczenie dla prasy, w którym nie podali żadnych szczegółów (mają przedstawić je na specjalistycznej konferencji).

Jak jednak z tego widać, sceny ze „Star Trek” długo jeszcze pozostaną *fiction*. Prawdziwa *science* marzy tymczasem o wykorzystaniu teleportacji do stworzenia superszybkich

komputerów kwantowych i szyfrowania danych (patrz ramka).

Co począć z kopią?

O teleportacji marzymy od dziesięcioleci. Choć ciekawe, że kiedy sięgamy po nią w wyobraźni, zaraz pojawia się wizja katastrofy. Zupełnie jakbyśmy zrywali owoc biblijnego drzewa wiadomości dobrego i złego – próba przejścia boskich prerogatyw z miejsca zostaje ukarana.

Pomysł, że podczas teleportacji mogłoby dojść do przemieszczania biologicznych struktur człowieka i muchy zbłąkanej przypadkiem do komory teleportacyjnej doczekał się już dwóch ekranizacji, których twórcy wykorzystywali całą ówczesną technikę dla uzyskania możliwie paskudnych efektów specjalnych. Teleportacja w finałowych sekwencjach „Odysei kosmicznej 2001” wymyka się ludzkiemu umysłowi, doprowadza w jakiejś niepojętej miejscie i pozostawia w nastroju lęku i nadziei.

Najczęstszym motywem pojawiającym się w związku z tym zagadnieniem jest jednak pytanie: Co robić z oryginałem po dokonaniu teleportacji? Czy można, a nawet trzeba go zlikwidować? Czy jest to nieuniknione? Ten problem powrócił także w ostatniej internetowej dyskusji nad eksperymentem australijskim, kiedy to David Whithenhouse, szef działu naukowego BBC, postawił pytanie: Czy zniknięcie teleportowanej osoby będzie równoznaczne z morderstwem?

To poważne pytanie. Ale na powiązanie teleportacji ze śmiercią można też spojrzeć z drugiej strony. Wyobraźmy sobie, że nasza świadomość w momencie śmierci ciała zostaje natychmiast teleportowana i odtworzona w znacznie bardziej przyjaznym otoczeniu.

Pieśń przyszłości? Być może. Ale po cichutku ktoś już ją nuci. Pierwsze zaśpiewały fotony...

KONRAD T. LEWANDOWSKI
OLGA WOŹNIAK

Kwanty i komputery

Pomysł stworzenia superszybkich kwantowych superkomputerów powstał w latach 80. XX wieku w głowie informatyka Dawida Deutscha jako odpowiedź na pytanie: do jakiego stopnia można się posunąć w miniaturyzacji obwodów elektronicznych? Wyszło na to, że najniższym możliwym układem logicznym teoretycznie może być pojedynczy atom, którego elektrony, przeskakując z orbity na orbitę, będą wykonywać podstawowe operacje w systemie zerojedyńkowym.

Trzeba tylko umówić się, którą orbitę uznajemy za stan „0”, a którą za „1”. Potem atomy ze skaczącymi elektronami zestawiamy tak, by wykonywały elementarne funkcje logiczne jak zaprzeczenie czy alternatywa, i dalej budujemy z nich całe systemy operacyjne. Takie same proste operacje logiczne może wykonać stalowa kulka staczająca się po pochyłej desce, w którą umiejętnie powbijano gwoździe. Pomiędzy kulką od łożyska a elektronem zachodzi jednak jedna dramatyczna różnica – kulka podlega prawom mechaniki klasycznej, zaś elektron – prawom mechaniki kwantowej. W praktyce oznacza to, że elektron w przeciwieństwie do kulki może znajdować się w nieskończenie

wielu miejscach naraz i w każdym z tych miejsc może wykonywać zadaną operację logiczną, co zwiększa moc obliczeniową do granic ludzkiej wyobraźni. Przypuszcza się, że komputer kwantowy będzie wykonywać wszystkie możliwe rachunki równocześnie, podczas gdy dzisiejsze komputery wykonują działania po kolei. W tej sytuacji najbardziej skomplikowane szyfry wojskowe będą łamane w ułamkach sekund.

Paradoksalnie teleportacja kwantowa oprócz łamania szyfrów może też zapewnić bezpieczne przesyłanie danych. Pisaliśmy powyżej, że stan kwantowy jest strukturą szalenie delikatną. Nie można w niego ingerować, bo się go zmienia lub niszczy. Jeśli zaś w postaci informacji o stanie kwantowym będziemy przysyłać tajne dane, każdy, kto będzie chciał je zdobyć – a nawet tylko „podejrzeć” – zostawi ślad w informacji lub doprowadzi do jej unicestwienia. Szpiegostwo od razu zostanie wykryte.

KONRAD T. LEWANDOWSKI

Mix językowy



Ludzie tacy jak ja są w szczęśliwej sytuacji, bo mogą sobie zmieniać przynależność narodową, kiedy tylko mają na to ochotę. To się czasami bardzo przydaje – zwłaszcza oglądając mundial. Pozwólcie więc, że tym razem założę moją „polską czapkę”.

Jak tylko przyjechałem do Polski, to od razu zauważyłem, że język polski w starym kraju różnił się nieco od tego, który znałem z domu. Nie chodziło o to, że – inaczej niż ja – wszyscy mówili po polsku poprawnie (o tym wiedziałem już o wiele wcześniej), ale raczej o to, że te słowa, które znałem, w Polsce nic nie znaczyły albo znaczyły zupełnie coś innego. Musiałem się więc nauczyć mówić parkometr, a nie licznik, pilot, a nie pstrykacz, rzut różny, a nie korner, program, a nie kanał telewizyjny. Nieraz doprowadzało to do absurdalnych sytuacji. Na przykład raz, kiedy prosiłem w sklepie z zabawkami o układankę, ekspedientka mnie poprawiała, mówiąc: „Chyba ma pan na myśli puzzle”, na co grzecznie odpowiedziałem jej, że nie, miałem na myśli właśnie układankę, i czy mogę tutaj kupić. „Ale czy nie ma pan na myśli puzzle?” – powtórzyła mi, po czym byłem oczywiście zmuszony ją udusić pluszowym misiem, którego akurat miałem pod ręką.

Martwię się, ponieważ wracam do Anglii na trzy tygodnie, a wiem, że tak samo będzie teraz z moim angielskim. Jak byłem ostatnim razem w Anglii i mówiłem o SMS-ach, stało się jasne, że nikt nie ma zielonego pojęcia, o czym opowiadam, póki ktoś wreszcie nie wpadł na to, że miałem na myśli *text messages*. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że zwrot SMS jest wzięty z angielskiego, a nie z polskiego.

Często z kolei jest tak, że ja sam nie rozumiem angielskich słówek, które słyszę w Polsce, co nieraz wprowadza moich rozmówców w nie małe zakłopotanie. Dopiero w Polsce dowiedziałem się, że *notebook* znaczy nie tyle notes, ile przenośny komputer, który zawsze znałem jako laptop. Oczywiście, ubolewam nad tym, że język polski najczęściej bierze za wzór słowo amerykańskie, a nie brytyjskie – dlaczego mówicie „telefon komórkowy” – *cell phone*, a nie „mobilny” – *mobile phone*, jak w Anglii? Ci jankesi czynią dosłownie wszędzie dominować! A pomyśleć, że tylko 250 lat temu byli zaledwie daleką prowincją Anglii...

Szkoda tylko, że sam polski nie wywarł większego wpływu na inne języki. Przecież tyle jest pięknych polskich słów, które nie mają angielskich odpowiedników. Maślak. Oka w rosole.



RYŚ: MORDILLO © 2002 OUI VERLAG N.V.

Guillermo MORDILLO

Koleiny. Bruderschaft. No, dobra, to ostatnie może nie jest najlepszym przykładem. Jednak nigdy nie jest za późno, żeby wprowadzić parę polskich pojęć do obiegu międzynarodowego. Wystarczy tylko trochę pomyśleć.

Lepperiada – akcja, która przerywa obrady w parlamencie. TKM – metoda przeprowadzania czystek we władzy rządowych – po angielsku NIOFT (*Now it's our f***ing turn*). Małyszomania – nagłe zainteresowanie się jakimś sportem, którego się ani specjalnie nie rozumie, ani nie lubi oglądać.

Chyba spróbuję je zastosować podczas mojej wizyty w Anglii. Może pomysł chwyci. W końcu trzeba Polskę promować, jak tylko się da. Słówka te mogą brzmieć trochę dziwnie po angielsku, ale myślę, że tylko złośliwcy twierdzą, iż stosowanie obcych słów bywa śmieszne.

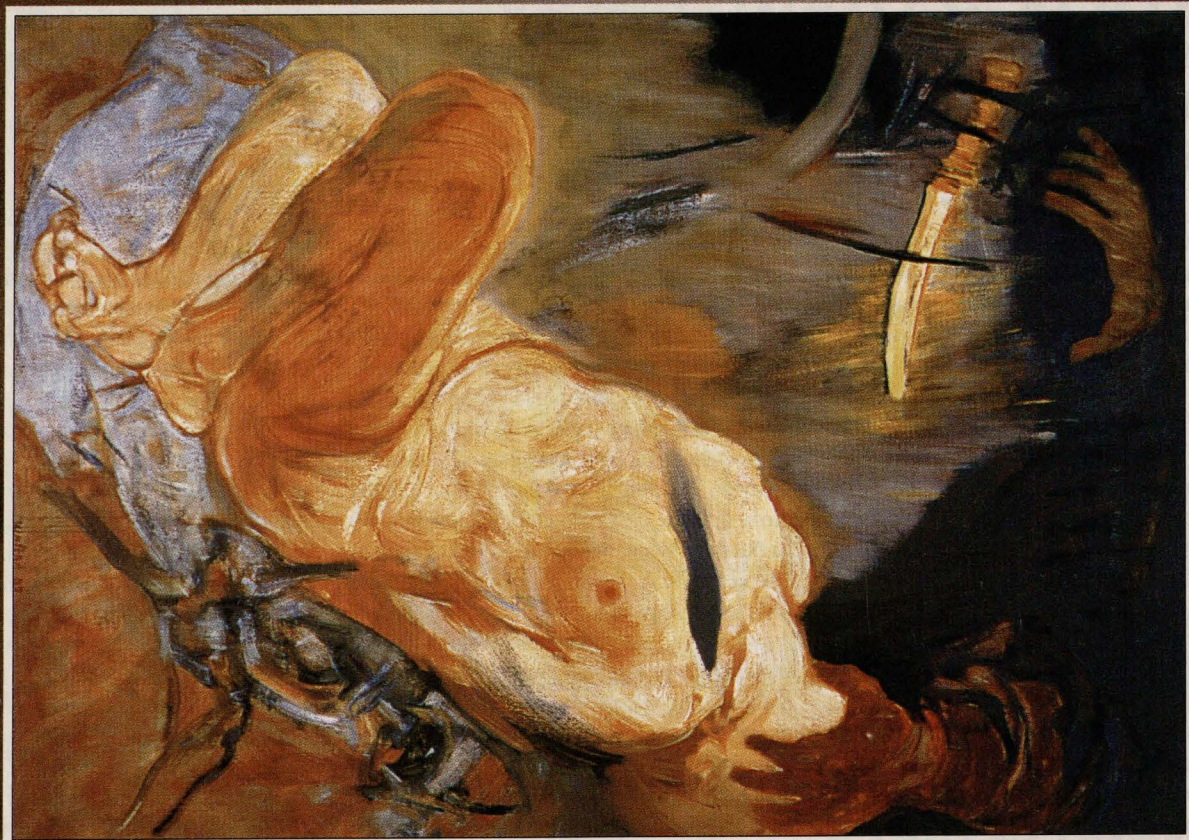
Na razie będę kończył, bo chcę jeszcze obejrzeć film na drugim kanale, a pstrykacz gdzieś mi się podział pod dywanem.

Być może dla tych, którzy czytają moje felietony od samego początku, będę się teraz powtarzał, ale myślę, że wybaczysz mi tym razem, mamo, co? Reszta, która zapewne czyta po raz pierwszy, być może zastanawia się, o co chodzi z tym tytułem „Polska Angola” i z tą flagą brytyjską, skoro facet się, holender, van Lierop nazywa. Od razu widać, że jestem Angolem – jestem pompacyjny, wyniosły, mam krzywe zęby itd. – ale mam też w sobie trochę z kundla – dzia- dek Holender, babcia Angielka, matka Polka.

Christiaan van Lierop

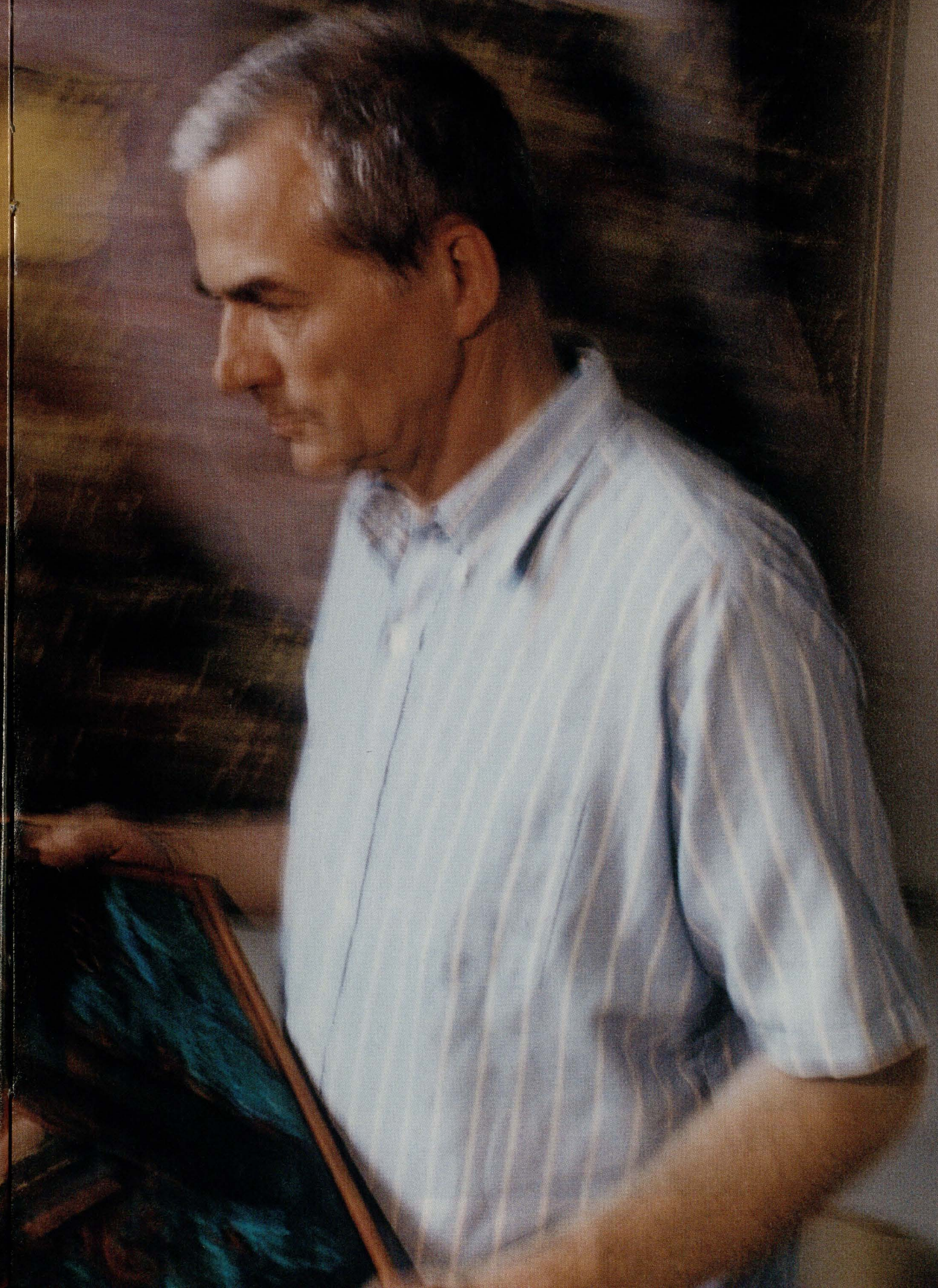
RYSUNKI MAREK RACZKOWSKI

MOŻE OKAZAĆ SIĘ
NIEZWYKLE PRZYDATNA.



„Ofiarowanie Izaaka”

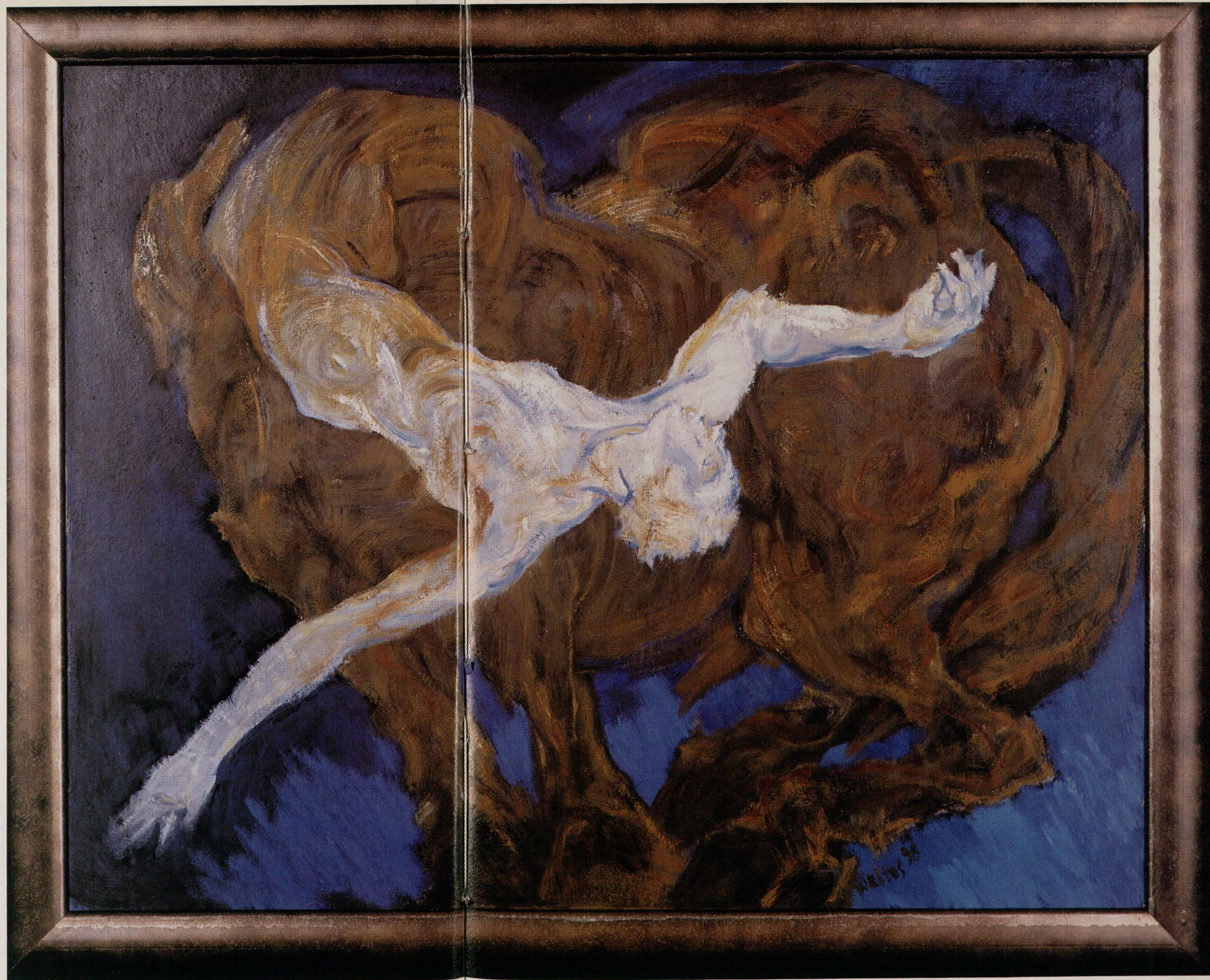
WALTOŚ DOSTAŁ CYBISA



Nagroda
im. Jana Cybisa
przyznawaną
od roku 1973
przez Okręg Warszawski
Związku Polskich
Artystów Plastyków
byli już uhonorowani
miedzy innymi:
Jerzy Tchórzewski,
Jerzy Nowosielski,
Jan Lebenstein,
Józef Czapski.
W tym roku
otrzymał ją
Jacek Waltoś

ANDRZEJ OSĘKA

Centaur, według mitologii greckiej pół człowiek i pół koń, był wciele-
niem dzikiej namiętności. Jacek
Waltoś maluje go jako figurę tragiczną
– kruchego człowieka unoszonego przez
potężne, rozszalałe zwierzę. Jako jedną
osobę o dwóch przeciwstawnych natu-
rach. W biblijnej Księdze Królewskiej
młody Samuel budzony jest ze snu przez
głos, którego nie rozpoznaje. Stary kapłan
Heli domyśla się, że był to głos Boga.
W obrazie Waltosia „Samuel i głos” nie
ma postaci wołającej, tajemnica pozosta-
je niewyjaśniona. Widzimy tylko nagiego
młodzieńca, jak rozchyła zasłone, szuka
w ciemności, oczekuje nieznanego.
W „Ofiarowaniu Izaaka” nie ma anioła,
który według Księgi Rodzaju powstrzy-
mał Abrahama przed poświęceniem wła-
snego syna na ofiarę Bogu. Nóż sam wy-
pada z otwierającej się dłoni. Tak nad cia-
łem chłopca tworzy się niezwykle znak
agresji, a zarazem czułości.



Sztuka Jacka Waltosia oparta jest na tradycji. Nie tej akademickiej, poprawnej w formie i jednoznacznej w przedstawianiu tematów, lecz szeroko pojętej tradycji śródziemnomorskiej, w której wątki biblijne łączą się z mitami Greków i Rzymian oraz późniejszą ich interpretacją przez artystów Zachodu: Michała Anioła, Rembrandta, Racine’a, Kazandzakisa. Gdzie nic nie jest oczywiste, miłość splata się ze śmiercią, uczucia zawsze pełne są sprzeczności. W rysunkowym i rzeźbiarskim cyklu „Pocałunki” artysta ukazywał twarze – formy odciskające się w sobie wzajemnie jak negatyw i pozytyw w jednym; połączył erotykę i ból.

Przestrzeń jest w tym malarstwie niejednoznaczna, porwana, ekspresyjna – jak powikłana przestrzeń duchowa, która tworzy się między ludźmi, a w której dokonują się spotkania, połączenia, rozstania. Czasem widać to dosłownie – na przykład w cyklu obrazów i grafik „Pomiędzy nami – kres”, gdzie między pozostającymi w zbliżeniu postaciami pojawia się przykra, ostra linia – niespodziewany znak obcości.

Materią swoją nawiązuje to malarstwo do tradycji pikturalnej Zachodu – Weneccjan, Holendrów, mistrzów francuskich. Także i w tym jednak Jacek Waltoś pozostaje niejednoznaczny, często łączy delikatność, szacunek wobec dawnego malarstwa ze zgrzytliwym zestawieniem barw, z negacją pięknej formy.

ANDRZEJ OSEKA



z JERZYM STUHREM, aktorem i reżyserem, gawędzą ŚWIETLICKI & DYDUCH Zdjęcia BOGDAN KRĘŻEL

Umówiliśmy się z Panem Jerzym Stuhrem w zacisznej kawiarence, z dala od zgiełku świata i wszelkich jego marności. Pan Jerzy Stuhr stawiał się niezwykle punktualnie. Starannie nieogolony, w lnianym ubraniu w kolorze piasku Sahary, przypominał raczej podróżnika, co z dalekiej wyprawy do tropików wrócił, niż znanego i cenionego aktora, reżysera i pedagoga. Po wymianie grzeczności zaczęliśmy:

Swego czasu na pytanie, jak postrzegana jest kultura polska na Zachodzie, odpowiedział Pan tak: „Kiedy wychodzę na scenę w Montevideo... i ktoś krzyczy: »Seksmissione!« – no to znaczy, że nie jest tak źle”. Czy dziś taki zagraniczny widz krzyknąłby: „Historie miłosne!” w swoim tubylnym narzeczu?

– Bardzo by mi to imponowało, gdyby krzyknął „Istorie d`amore”, ale wydaje mi się to raczej mało prawdopodobne, chociaż „Historie miłosne” na przykład we Włoszech miały duży oddźwięk. Tam w ogóle nie jestem postrzegany jako aktor komediowy, tylko silnie dramatyczny. Kiedyś pojechałem na festiwal do Triestu, żeby pokazać „Seks-misję”, i krytycy tamtejsi nagle mówią: to jest aktor, on w komedii potrafi grać, a nie wygląda na takiego. To jest budujące, bo na mnie w Polsce ciąży ta gęba komika, kolesia...

Czy ludzie mimo tak wielu Pana wyjaśnień nadal postrzegają Pana Rektora jako przysłowowego *par excellence* jajcarza?

– No, cóż mam robić, ciągle tłumaczę, że jest inaczej, że ja już odchodzę, żeby mnie zaczęli inaczej postrzegać. Ale ten ogon komediowy mocno wrył się w naród. Ale to się w Polsce dzieje tylko...

A może to kwestia porażającej, wszechświatowej siły Pańskich kreacji komediowych?

– Wszechświat to może przesada, ale staram się... A jak już mam się ośmieszyć, to ja pójdę do końca, bo ja tak uprawiam ten zawód.

Plakał Pan autentycznie, prawdziwymi łzami?

– Ale gdzie, w czym?!!!

Na scenie.

– Nie, nigdy. Ja znam triki.

Czyli nie poszedł Pan do końca.

– Nie, ale to o czym innym panowie mówicie – o umiejętności wzbudzenia w sobie pewnych stanów. Ja tu mówię o decyzji, to znaczy: panowie, podejmujemy taką decyzję, że będziemy na golas psychicznego i fizycznego latać. To jest sprawa odwagi. Tego mnie nauczyły lata studenckie.

A czy dzieckiem był Pan wesółym?

– Tak, tak.

Nie ponurakiem jakimś?

– To głęboko leży w moim charakterze, ja z kabaretem zawsze byłem związany, od najmłodszych lat, potem na studiach. Tylko że kłopot polegał na tym, że jak moi starsi koledzy uprawiali kabaret w kawiarenkach, w Jamach Michalikowych, Piwnicach pod Baranami, moje pokolenie wchodziło z telewizją. Najpierw były „Spotkania z balladą”, parę milionów widzów. Od razu musiałem stać się popularnym *showmanem*.

A gdyby miał Pan Rektor teraz określić jednym słowem typ swojego aktorstwa?

– Autoironiczny. Chciałbym, żeby to było na granicy gatunku. Eksperymentuję całe życie, na początku w ogóle nieświadomie. A teraz już z perfidią, cały czas przeprowadzam eksperymenty, mieszam gatunki. Pociąga mnie, żeby się zaśmiały, a za chwilę cisza zapadła...

Czyli tragikomizm?

– Tak, tragikomizm. Włosi mają na to taki termin: komediodramat. Prowadzić widza w sinusoidzie napięć.

Czy studia polonistyczne i aktorstwo wynikały z siebie logicznie, czy to był jakiś nagły skok mentalny?

– Aktorstwo to była nauka zawodu, a wykształcenie zupełnie gdzie indziej według mnie się zdobywało. Ale jak przyszedłem na studia, natychmiast szukałem, węszyłem, gdzie by jakiś teatr zahaczyć, a studencka kultura wtedy była bardzo silna. To była bardzo mocna alternatywa dla kultury establishmentu, zakładałem Teatr Stu przecież! Na polonistycie stwierdzili: z niego adiunkta to nie zrobimy.

Napisał Pan kiedyś wiersz?

– Nie, nie, zawsze był to kompleks mój straszny, bo na polonistycie co drugi pisze wiersze. I wszystko pisało wiersze, Tadek Nyczek pisał wiersze, a ja nigdy nie miałem odwagi. Ja nawet w ogóle mam problemy z poetyckością.

Mianowicie?

– Nie umiem świata zobaczyć w poetycki sposób i zawsze będę ciągnął w kierunku realizmu. Czasem jestem bardzo kurczowy w tym realizmie. **Pan mentalnie się utożsamiał z poetami Nowej Fali?**

– To byli moi rówieśnicy. Przecież Zagajewski, Kornhauser to byli koledzy ze studiów.



Nie umiem po warszawsku



Ale w tym momencie, czy Pańska droga twórcza pokrywa się z ich drogami? Oni się stali w pewnym sensie parnasistami, zaczęli od buntu... a teraz to niemal święci starcy... Czy Panu odpowiada tego rodzaju droga?

– Moje życie świadczy o czymś innym, ja bardzo źle się czuję w klasycystycznych rejonach, moje życie polega na tym, że ja bardziej lubię zaczynać, niż kończyć na areopagu. Rzucam się w nowe przygody, nie liczę sobie lat. Żadnych jubileuszków, nie wiedziałbym, ile na scenie jestem lat... Koledzy bardzo tego pilnują. Utożsamiałem się przede wszystkim z ideologią Nowej Fali, ideologią świata nie przedstawionego.

Czy „Świat nie przedstawiony” to była taka ważna książka?

– Bardzo, bo sformułowała cały bunt mojego pokolenia, lepiej go opowiedziała – są takie książ-

ki, w których twoje myśli są lepiej sformułowane. Tak jest na przykład z książkami Jurka Pilcha.

Pan Bogusław Linda wyznał, że ceni Pana najbardziej za umiejętność pisanie dialogów filmowych. Czy nie jest tak, że aktor potrafiący to zrobić pięknie jest ciekawszy, autentyczniejszy od aktora bez tej umiejętności?

– Mam bardzo wyrobiony zmysł słuchu, podsluchiwanie, słucham, jak mówi ulicą. Jestem na to wychulony, jak się znajduję gdzieś, to szybko się uczę gwary, mam jakieś predyspozycje w tym kierunku. **To każdy aktor tak ma?**

– Nie, to jest umiejętność indywidualna. Poza tym Kieślowski mnie poduczył.

A w jaki sposób?

– No, Kieślowski mnie nauczył, bo on mnie w ogóle uczył aktorstwa filmowego. On mi godzi-

nami pokazywał swoje dokumentalne filmy i mówił mi, gdzie jest prawda. Oglądałem też Amerykanów, w latach 70. był to nurt ożywczy.

A który film amerykański z lat 70. Panu się podobał?

– To był „Strach na wróble”, to był „Nocny kowboj”, to był „Lot nad kukłczym gniazdem”, to były filmy, na których się aktorstwa uczyłem – bycia, a nie grania. I oglądałem Kieślowskiego dokumenty, i on mi mówił, co mu się podoba, jaki typ zachowania. To ja sobie wszystko zbierałem, dowadywałem się, że trzeba być, a nie kreować. I język... On miał fantastyczne ucho na język...

Pan Rektor wybacz, że wejdziemy w słowo – czy strasznie Pan się obrazi na stwierdzenie, że największą rolę zagrał Pan w filmie „Spokój”?

– To jest normalne, że aktorowi się zdarzają udane rzeczy na początku drogi twórczej, ja też do dzisiaj cenię tę rolę niezwykle. Nie mam się komu pochwalić, bo niewielu ten film pamięta. Kieślowski też uważał, że to jedna z najlepszych moich kreacji. Ja do „Spokoju” pierwszy raz pisałem dialogi.

No, bo właśnie czuło się potężną autentyczność.

– Akcja tego filmu miała toczyć się w Warszawie, ale ja mówię: „Krzysiek, ale ja nie umiem po warszawsku!!! Wiesz, każesz rozmawiać mi z murażem, z więźniami, ja dialektem krakowskim będę mówił, a jak mnie wepchniesz w warszawskich murarzy, to będzie głupio, bo ja musiałbym się tego z parę miesięcy uczyć, nie ma czasu”. I on to zmienił. I stąd się znalazł Trela, wszyscy ci, którzy umieją mówić po krakowsku.

A z innej beczki: wyznał Pan Rektor kiedyś, że kamera jest dla Jego Magnificencji substytutem pióra czy maszyny do pisania, na przykład marki Erica...

– Tak, oj tak, w moim wypadku tak.

Czy miał Pan wobec powyższego potrzebę nieodpartą, aby powieść kiedyś napisać?

– Oj tak, straszną potrzebę, to jest moje marzenie.

Czynił Pan Rektor jakieś w tej materii usiłowania?

– Nie, na razie czyniłem próby opisanego fragmentów swojego życia... Te scenariusze są jakimś substytutem opowieści, którą chciałbym napisać, ale nie napiszę, bo inny rodzaj skupienia jest potrzebny. Pisząc scenariusz, ja go właściwie piszę jak książkę, tylko potem przycinam do wymogów kamery. Ja mam obsesję dążenia do wolności. W teatrze związany jest człowiek z zespołem, od wielu ludzi zależy. To jest ograniczenie potworne i to jest w ogóle inna umiejętność. A tutaj jest ta kartka i piór zestaw, siedzisz, a jak zepsujesz, to zniszczysz, do kosza wrzucisz, a jak taśmę zepsujesz, to jest znacznie gorzej. No więc i dlatego taka tęsknota jest we mnie, ale już nie do zrealizowania.

Ja bardzo źle się czuję w klasycystycznych rejonach. Bardziej lubię zaczynać, niż kończyć na areopagu

A to dlaczego?

– Uwikłany jestem w tyle różnych przedsięwzięć.

No, ale rektorzy, prezesi etc., nawet prezydenci to nie są funkcje dożywotnie...

I tu Pan Rektor po chwili zadumy zachnął się po raz pierwszy i zwilżył gardło złocistym płynem.

A uwikłanie w Hollywood byłoby miłe Pańskiemu sercu?

– No, ja byłem w to i jestem nadal trochę uwikłany, bo „Historie miłosne” były kandydatem do Oscara, ja tam pojechałem promować film, dwa tygodnie byłem i poznałem światek.

Podobało się Panu?

– Nie. Obcy to świat, zupełnie mi obcy. Oni lekceważą Europę, tam się czujesz jak na przyczepce, jak mówił Gombrowicz. Poklepywali mnie tak, jakbym był ich jakimś kolegą, a poza tym te idiotyczne łowy na akademików. Tam się tylko myśli, jak zrobić, żeby jak najwięcej dziadków oglądło ci film. Bo na tym to polega, że im więcej tych dziadków ściągniesz bankietami,

tym lepiej, bo kaset wysyłać nie wolno, oficjalnie. Ameryka to dziwny kraj. Miłosz Forman opowiadał kiedyś, jaka jest różnica między filmem amerykańskim a europejskim. Otóż w filmie amerykańskim są źli i dobrzy chłopcy, źli walczą z dobrymi, walczą i na końcu dobrzy chłopcy wygrywają. A w filmie europejskim też walczą dobrzy chłopcy ze złymi chłopcami. Tylko że po pięciu minutach widać, że ci źli to nie są tak bardzo źli, a ci dobrzy wcale nie tak bardzo dobrzy, a na końcu przegrywają wszyscy: *...and the winner is nobody.*

Czyli jeżeli Amerykanie są, pozwólmy sobie na chwilę uogólnienia, be, to któraś nacja jest cacy?

– W ogóle to Czechów ja uwielbiam, w Czechach jestem bardzo popularny i gdzieś tam są moje korzenie. Moja rodzina jest z pogranicza Austrii i Czech i to drzemie w człowieku, ja to mam w genach, humor czeski, a kiedy mówimy o autoironii, to przecież ja się tego od Czechów nauczyłem. Najpierw z siebie knedel się będzie śmiał, a dopiero potem z innych. Gdy jadę przez Czechy i przez Austrię, to czuję się jak w domu. A potem pojawia się rzeczka, Tagliamente się nazywa, przed Wenecją, i już jest bazylika, wino, już nie mój to świat, fantastyczny, fascynujący świat, ale już nie mój.

Pański temperament zdaje się wskazywać na to, że jest Pan raczej typem południowca. Czy jest Pan na tyle zwierzęciem aktorskim, że zagrałby Pan w filmie Bergmana?

– Ależ, panowie, przecież ja niedaleko od tych rejonów, ta szkoła i to poczucie intensywności bycia jest mi bardzo bliskie.

Nie chcielibyśmy, aby zabrzmiało to niegrzecznie, ale dostrzegamy pewien niedostatek nordyckości w Panu...

– No, czy ja wiem...

W tym momencie po chwili refleksji Pan Jerzy Stuhr zachnął się po raz wtóry. Przeprósiliśmy grzecznie, Świetlicki wyszedł do toalety, Pan Jerzy pokrzepił się piwem, a Dyduch zapytał:

Czy ma Pan jeszcze jakieś marzenia jako aktor?

– Mam wielkie, nie do końca spełnione marzenie o rolach szekspirowskich, a nikt nie odważa się mnie w nich obsadzać. Grałem raz w Szekspirze, ale na szczęście Hamleta.

Świetlicki wrócił z toalety jakby weselszy, dzierżąc w swojej mistiowatej dłoni literatkę ze słiwowicą, i wyskoczył jak Filip z konopi:

A gdyby się pojawił u Pana młody reżyser, powiedzmy filmowy, który by powiedział: nie skończyłem szkoły filmowej, nie mam pieniędzy, ale być może jakieś tysiąc złotych znajduje na honorarium, mam świetny scenariusz, i pokazuje Panu scenariusz, a Pan, mówiąc po młodzieżowemu, w to wchodzi. Jest to możliwe?

– Teoretycznie. Był taki chłopak, który strasznie chciał, żebyśmy zagrał w jego debiucie, a debiuty trzeba

teraz chronić, ale ja nie mogłem zagrać, bo już byłem uwikłany w inne przedsięwzięcia, a nawet niezły scenariusz miał. Odmówiłem, bo miałem robić swój film, a teraz ani filmu nie robię, ani w „Zemście” nie gram...

Znów, któryż to już raz dzisiaj, pozwolimy sobie na impertynencję: to naszym zdaniem szalenie asekuracyjna postawa – obsadzać siebie w swoich filmach. Świadczyć to może o obawie, że nikt nie będzie tak dobry jak Pan...

– A jak byście, jakeście tacy mądrzy, powiedzieli Nanni Morettiemu: „Panie, nie graj pan u siebie!”. Ha, co?!! Albo Benigniemu to powiedzcie... Zresztą, paradoksalnie, dopiero za role w moich filmach zacząłem dostawać nagrody na międzynarodowych festiwalach. Za żaden film Kiesłowskiego, Wajdy nigdy nie dostałem nagrody. Dopiero od „Historii miłosnych” się zaczęło. Pamiętam taki mały festiwal na Łotwie. Przewodniczącym jury był Brandauer i uzasadniał przyznanie mi nagrody tak: daliśmy panu Stuhrowi nagrodę za role w „Historiach miłosnych” dlatego między innymi, że jemu trudniej zagrać we własnym filmie.

Czy w przypadku „Spisu cudzołóżnic” nie poczynał Pan sobie nazbyt śmiało – czy nie jest to aby film bardziej o Jerzym S. niż o Jerzym P.?

– To od razu, od początku, wiedziałem, że to będzie film o mnie. Bohater filmowy różni się od książkowego. Akcent jest położony inaczej. Mnie fascynował przede wszystkim wątek przemijania. Bohater mówi do Izy: „Izo, przemijanie mnie trapi”. Otóż to był mój problem w latach 90. Miałem 45 lat i byłem w silnym stresie przemijania, ale nie tylko męskiego, przede wszystkim dotyczącego epoki. Ja wiedziałem, że już nic nie wróci, że to wszystko za chwilę będą puste słowa, puste gesty: brama Pyjasa, studzienka na Rynku, nie wytłumaczysz tego nikomu.

Młodzież jest tym raczej rozśmieszona.

– No właśnie, to był główny powód, wyczytałem to z książki Jurka lepiej, niż gdybym sam to wymyślił. Drugim powodem był Kraków, któremu tyle zawdzięczam, ale widzę go po swojemu, też przez krzywe zwierciadło Pilchowego patrzenia. Trzeci to uniwersytet, kobiety i kabotyństwo.

Krakowskie kabotyństwo jest lepsze od warszawskiego. Krakowski reżyser lepszy od warszawskiego... Czy według Pana dobry krakowski reżyser to ktoś w rodzaju małego Pana Boga?

– Na pewno scenarzysta jest rodzajem Boga, powołuje do życia, wyrzuca postać. Miał być epizod i nagle się rozrasta, jedna postać rośnie, rośnie, a druga, co wydawała się główną, niknie, dwie scenki ma. To prawdziwe kreowanie. A reżyser, reżyseria nie jest zajęciem artystycznym. W moim przypadku podkreślałem, bo widziałem reżyserów, kreatorów wielkich. Ale u mnie artyzm ogranicza się do pisania i wykonania. Jako reżyser usiłuję to przełożyć, opowiedzieć to ekipie, wymóc, żeby chociaż w 70 procentach zrealizowali to, co się w mojej głowie pojawia, bo najpiękniejszy film się kręci w głowie, a potem są tylko kompromisy.

Było o Bogu, Bóg to ojciec między innymi, czy Pan jest surowym ojcem?



– Jedną z najgorszych moich wad jest to, że nie potrafię się chwalić.

Właśnie, wyczuliśmy to, nie chwaląc się, i prosimy skrytykować swojego syna i powiedzieć, jakie wady ma jego aktorstwo. Będzie to pozytywne zapewne dla niego samego...

– Za mało buntownicze jest to jego aktorstwo. **Gdyż jest on z pokolenia, które już się nie buntuje.**

– I to widać, niestety. Nasze pokolenie było całe z buntu i każde nasze działanie, nawet artystyczne, było z buntu. To jest wada ogólniejsza. Natomiast w przypadku Mačka: czasem za bardzo ulega swojemu wdziękowi, daje się mu uwieść.

Pan Rektor nigdy tego nie robił?

– Ja nie byłem taki przystojny jak on, musiałem zawsze walczyć o siebie. Ja nie byłem z tych, co wchodzi i już go kochają.

A co Pan robi, żeby Pana kochano?

– Człowiek się musi urobić. Ale najbardziej chyba za szczerość mnie cenią, za to mnie kochają. Podszedł taki główniarz w Gdyni na festiwalu i mówi: „Git film pan zrobił”. Ja mówię: „Przecież to nie dla ciebie film, chłopcze, przecież to dla twoich rodziców film”. A on mówi: „Nieprawda”. Ja mówię: „A co w ogóle?”. A on na to: „Pan był szczery, a jest pan z takiego pokolenia, co szczere nie jest”. A wracając do aktorstwa mojego syna: kurczę, on dopiero zaczyna. O jego aktorstwie to będzie my mówili za parę lat. Niech się zbierze parę ról.

Porzuciliśmy sprawy rodzinne i spojrzawszy w notatki, spostrzegliśmy z przerażeniem, że nie zagadnęliśmy jeszcze Pana Stuhra o jego partnera z „Seksmisji”, a to miał być przecież lejtymotyw naszej rozmowy! Dyduch odwrócił na chwilę uwagę Pana Rektora, czyniąc nogami hałas pod stołem, a Świetlicki z marłki zagadnął:

A teraz, żeby nawiązać... aaaa, do tematu... eeee, yyy... który ma być... w sensie „Przekroju”... uffff... pretekstem... Innymi słowy – Pan walczy z wizerunkiem wesołka, a Olgierd Łukaszewicz w każdym prawie filmie umierał...

– Tak, umierał, chorował.

Co Pan myśli o jego aktorstwie?

– Mnie jest strasznie trudno powiedzieć, bo ja Ola znam ze szkoły, z Teatru Stu, znam go bardzo dobrze. Jego upodobania, jego charakter, prawość, szczerość, powagę, misję. On niesie w sobie misję. Ja nigdy nie miałem takiego powołania, a on ma powołanie na aktora. Ja ten zawód uprawiałem, bo mi wychodziło, a on ma wielkie powołanie. Czasem jest w tym dziecinnie naiwny, co jest też piękne. Takich ludzi dzisiaj nie ma. No, a ta jego męka w „Seksmisji”, mnie go było tak żal.

Żle się czuł?

– Ja wiedziałem, że tak będzie, przecież o to chodziło, żeby on się źle czuł. Machulski tylko bez przerwy mówił: „Ty, Olo, cicho, ty graj jak u Zanusiego i będzie wszystko dobrze. Resztę to my już tu

zrobimy z Panem Jureczkiem, zakręcimy wokoło tak, a ty graj Zanusim”. Widziałem, jak on cierpiał. A wtedy był w rozkwicie męskiej urody. Był pięknym mężczyzną. Do niego dziewczyny to pisały: „...modłę się do kaplicy Pańskiego ciała”, no i nagle mu nogę w wiadro kazali wsadzić i zapieprzać.

Wtedy byliście młodzi jeszcze?

– Tak. Ja byłem wtedy w dość trudnym momencie życiowym, momencie zwątpienia w aktorstwo. Byłem mentalnie i fizycznie przemęczony i stan wojenny jeszcze na to się nałożył.

Jedną z najgorszych moich wad jest to, że nie potrafię się chwalić

Premiera była w roku 1983...

Nie była to grzeczna uwaga, przyjmijmy więc, że jej autorem był Pan Bogdan Krężel, który cały czas nam towarzyszył, robiąc zdjęcia. Na szczęście Pan Rektor kontynuował:

– Nie chciałem spędzić reszty życia w garderobie teatralnej. Dlatego zacząłem za granicą. Startowałem od zera, choć w Polsce miałem niebagatelny dorobek.

A czy teraz można porównać Pana pozycję we Włoszech z pozycją na przykład Andrzeja Seweryna we Francji?

– Gdybym na przykład przyjął w roku 1981 propozycję Teatro di Roma, toby można robić takie porównanie. Zresztą, kiedyś siedzieliśmy w 1980 roku we Włoszech, czwórka aktorów polskich, którzy pracowali po raz pierwszy za granicą: koledzy Seweryn i Pszoniak, ja i Daniel. I Andrzej Wajda. Wypiliśmy parę kieliszków i tenże Andrzej Wajda mówi: „Wiecie, chłopcy, fajnie, wszyscy umiecie bardzo ładnie grać, jesteście bardzo zdolni, języki znacie lepiej ode mnie, ale Seweryn największą karierę robi”. A my tak: „A co? Dlaczego?”. On mówi: „Bo jest najpilniejszy. Żaden z was nie jest tak pilny jak on”. I to jest prawda. Seweryn ma po prostu nieprawdopodobną siłę do poświęcenia się tej katorżniczej pracy, żeby opanować język w stopniu doskonałym. Andrzej ciągle zmienia osobowość, wciela się. A ja ciągle walczę, żeby zachować swoją osobowość, żeby było widać, że jestem z Polski aktorem. To u mnie to zawsze była jakaś heroiczna obrona swojej osobowości.

A czy podkładając głos pod animowane postaci, swoją osobowość Pan zachowuje?

– O „Shreku” nie chcę mówić, bo już się nagałem, o „Mulan” też nie. Ale powiem coś inne-

go, że jeszcze wcześniej, dawno temu, *incognito*, zrobiłem „Przyjaciela Wesołego Diabła” – Piszczalkę – to ja nim byłem.

Tu zbaranieliśmy, bo nic nie wiedzieliśmy o tej sprawie...

Zachwyił nas Pan. To naprawdę Pan był Piszczalką?

Zapytaliśmy, nie żebyśmy nie dowierzali, ale dla porządku.

– Teraz żałuję, że powiedziałem, że to *incognito* zrobię. Dzieci były szczęśliwe, mówiły całymi tekstami. Piszczalka – to był mój debiut w *dubbingu*.

Ale à propos dubbingu: czy to nie jest aby przekleństwo króla Midasa, że czego Pan Rektor tknąć raczy, to się zmienia w złoto?

– Możliwe. Bo ja wszystko robię do końca.

A z drugiej strony wypada zapytać o role, z których Pan dumny nie jest, których Pan być może szczerze nienawidzi.

– Było parę takich.

Mianowicie? Bo nawet Pan Gustaw Holoubek się przyznał...

– O teatrze nie ma co mówić, bo to zapomniane, nikt nie wie, nie pamięta.

A film?

– Nie powiem. Strasznie potem przykro tym reżyserom.

A „Łuk Erosa”?

Zapytaliśmy chytrze i lisio.

– No właśnie, już raz w książce zastanawiałem się, po co mi to było, i Domaradzki miał potem pretensje.

Porzuciliśmy wątek, aby zapobiec jakimś kolejnym pretensjom, żalom i roszczeniom. Rozwinięliśmy następną:

Czy w życiu zrobił Pan dużo, czy średnio dużo?

– Myślę, że dużo. Ja bez przerwy coś robię.

Jest Pan pracowity?

– Tak.

Ale nie tak jak Pan Andrzej Seweryn, nie ma Pan Rektor tej pilności?

– Nie, pilności nie mam takiej. Natomiast powiem, że jest u mnie kult pracy, bo tylko przez pracę siedzę tu przed wami, tylko przez to.

A my siedzimy przed Panem z lenistwa.

– To prawda, w każdym z nas tkwi leń. Na czym polega leń? Leń może bardzo dużo robić... Gdy widzę białą ścianę przed sobą, jakiś nowy projekt, myślę sobie – w ogóle nie wiem, jak zacząć. I dopiero wtedy zaczyna to być fascynujące. Wyzwanie. Jest wyzwanie – to i przygody będą...

Rozmawiali MARCIN ŚWETLICKI
i GRZEGORZ DYDUCH



Kiedy pamięć
Figle płata weź
Ginkofar
zyskasz lata



Ginkofar:

- poprawia pamięć i koncentrację
- likwiduje szum w uszach i zawroty głowy
- zmniejsza uczucie zimna i mrowienie w stopach
- działa ochronnie przed niekorzystnym wpływem wolnych rodników tlenowych na organizm



◀ Tłumek gejów w przedstawieniu „Mother Clap's Molly House” w londyńskim Lyttleton Theatre

czy „Kotów” co jakiś czas pojawiają się tu wznowienia innych modnych musicali lub głośne sezonowe nowości. Ostatnio najczęściej zamieszania powstało wokół „The Mysteries” („Misteria”), południowoafrykańskiej produkcji reklamowanej jako „sensacyjny, pobudzający, najlepszy *show* muzyczny obecnego sezonu; dramatyczny dynamit”.

40-osobowy zespół skompletowany na podstawie przesłuchań prowadzonych w Afryce Południowej niemal w całości składa się z czarnoskórych aktorów. Dialogi prowadzone są w czterech z 11 używanych tam języków. Na niemal pustej scenie, przy użyciu zaledwie kilku rekwizytów (wiązka siana oznacza Betlem, dwie drabiny – krzyż), przemierzamy wszystkie sceny Starego i Nowego Testamentu – od stworzenia świata do zmartwychwstania Jezusa. Już przy Arce Noego nie mogą zrozumieć głosów zachwytu, jakie ukazały się w prestiżowej prasie zaraz po premierze. Skromniutkie, naiwne scenki wymagające znacznego zaangażowania wyobraźni widzów przegrałyby w konkurencji ze szkolnym przedstawieniem jasełek pamiętanych z dzieciństwa. Ożywienie i śmiech publiczności (w większości złożonej z czarnoskórych londyńczyków) wywołują aktorzy udający zwierzęta niedające się zagonić do Arki, sceny dobierania apostołów (na podstawie zgodności rytmów i umiejętności klepania się po udach) oraz jarmarczne sztuczki diabelskiej ekipy robiącej piekielny hałas nieskoordynowanym waleniem w kotły. Jeżeli to jest najlepszy nowy *show* i największy hit, lepiej od razu zrezygnować z oglądania mniejszych rewelacji.

Zaniepokojona swoją odpornością na dowcip postanawiam obejrzeć przedstawienie, które otrzymało w tym roku prestiżową nagrodę Laurence'a Oliviera w kategorii „Najlepsza komedia”. Po zapowiedziach typu: „Czekają cię konwulsje ze śmiechu, publiczność wyje i szlocha z radości; śmieszne do łez” spodziewam się dobrej zabawy. Scenariusz „The Play What I Wrote” („Sztuka, którą napisałem”) stworzyli znani komicy Hamish McColl i Sean Foley jako rodzaj hołdu złożonego parze gwiazd Morecombe i Wise (M&W) z telewizyjnego programu rozrywkowego. Swego czasu ci dwaj starsi panowie podbili serca Brytyjczyków swoimi dowcipnymi sprzeczkami, finezyjnymi gagami, piosenkami i śmiesznymi krokami w tanecznych numerach. A McColl i Foley zrobili przedstawienie o tym, jak to zostali poproszeni o zrealizowanie *show* o M&W i zgodzili się zrobić przedstawienie o tym, jak zostali poproszeni o zrobienie *show* o M&W. Całość wyreżyserował, o dziwo, Kenneth Branagh – największy specjalista od filmowego Szekspira.

Publiczność raz po raz reaguje wybuchami śmiechu na przebieranki w kobiece ciuszki malutkiego Tobiego Jonesa, mylenie kroków

przez McColla i Foleya i ich łóżkowe dialogi. Natomiast wprost wyje z radości, kiedy dochodzi do sceny (dosłownego) „wchodzenia w pupę” Jonesa odgrywającego rolę znanego producenta kryjącego swoją tożsamość pod blond peruką. Rzeczywiście, śmieszne do łez.

Yeah, oh, yeah

Zmiana taktyki. Trzeba nastawić się na te produkcje, które powinny gwarantować poziom. Wybieram najlepsze przedstawienia przeniesione na West End z prestiżowych teatrów Royal National Theatre i Royal Court. „York Realist” jest nową sztuką dramaturga i reżysera Petera Gilla określaną jako „rozdzielająca serce *love story*” pretendująca do tytułu najlepszej nowej sztuki sezonu. Akcja dzieje się w Yorku we wczesnych latach 60., kiedy różnice klasowe i normy obyczajowe wyznaczały oddzielne światy. John (klasa średnia), reżyser z londyńskiego teatru współpracujący przy amatorskim przedstawieniu średniowiecznych dramatów misteryjnych, ulega magnetyzmowi przystojnego George'a – farmera z Yorkshire (klasa pracująca), który bierze udział w próbach. Napięcie budowane jest w scenach stojących, kiedy panowie, patrząc na siebie pożądliwie, zajmują symetryczne pozycje po dwóch stronach stołu. Kiluminutowe sekwencje ciszy przerywają pełnymi treści kwestiami w rodzaju: „...yeah”, „oh, yeah”, „...so...”, „well...” („...taa”, „o, taa”, „...no...”, „dobrze...”). Mija sporo czasu, zanim wreszcie zbliżą się do siebie na odległość ramienia, by popatrzeć sobie w oczy. Chciałoby się zakrzyknąć: „Oh, *comm'n* guys!”. Wszyscy już jesteśmy zmęczeni tym nieskonsumowanym pożądaniem i tak bardzo chcemy, żeby im się udało, że istotnie serce się kraje, kiedy George z niezwykłą rozumą odmawia wyjazdu z Johnem do Londynu. Cała publiczność bez względu na własną orientację seksualną kibicuje jednomyślnie tej nieszczęśliwej miłości: taka ładna z nich para i tak bardzo się kochają. Kiedy zapada kurtyna, cały teatr wypełnia „Love, love me do” Beatlesów. Przechodząc tanecznym krokiem do wyjścia, grupka z mojego rzędu przepuszcza dwie gejowskie pary, z aprobatą odprowadzając ich wzrokiem. Dobrze, że chociaż tym się udało.

Fuck them all!!!

Najnowsze dzieło Marka Ravenhilla (autora „Shopping and Fucking” oraz innych szokujących sztuk teatralnych) traktuje o męskich burdelach w Londynie początku XVIII wieku. „Mother Clap's Molly House” jest musicaliem w lekko Brechtowskim stylu napisanym ze społeczno-obyczajowym zacięciem dialogiem chwilaми zapierającym dech swoją wulgarnością. Na scenie pośród stylizowanych dekoracji

Seks w wielkim mieście

MAŁGORZATA SZUM

Aktorzy klną i kopulują.
Publiczność wyje ze śmiechu.
Szekspir przewraca się w grobie

Niezliczone seanse w 70 kinach, co dzień 16 przedstawień na West Endzie, 61 koncertów rockowych, imprezy w 36 salach widowiskowych i teatralnych, niekończące się kolejki...

Ogarnięcie całości oferty rozrywkowej siedmiomilionowego Londynu to absurd. Trzeba przystąpić do sprawy metodycznie.

Najpierw należy odrzucić stałe pozycje repertuarowe i produkcje setek alternatywnych zespołów o różnym poziomie. Na bok Szekspira, Raciny, Czechowy. Szukajmy tego, co

zaznaczyło się w jakiś szczególny sposób – jako najśmieszniejsze, może owiane aurą skandalu, z jakichś powodów wyjątkowo tłumnie odwiedzane. Pędźmy czy później i tak wylądujemy właśnie na West Endzie, odpowiedniku nowojorskiego Broadwayu.

Kto się kryje pod blond peruką?

Oprócz znanych, odwiecznych samograjów w rodzaju „Les Misérables”, „Upiora w operze”

FOT. TOPHAMMEDIUM

tańczą chłopcy poprzebierani w kobiece suknie, radośnie odkrywając swoją seksualność. Wszystkiemu patronuje Mateczka Clap (*clap* znaczy „tryper”), udostępniając bardziej rochoconym klucze do numerów na piętrze. W drugiej części, gdy akcja zostanie przeniesiona do współczesnego apartamentu, przed oczami widzów rozpoczyna się wyrafinowana gejowska orgia obfitująca w dość szokujące sceny z długimi sekwencjami stosunków seksualnych odbywanych na różne sposoby, niemal w kompletnej ciszy przerywanej jedynie przyspieszonym oddechem lub odgłosami orgazmu. W finale tłumek gejów triumfalnie intonuje piosenkę przewodnią: „*Fuck me! Fuck me! Fuck me!*”, by w odpowiedzi otrzymać błogosławieństwo upersonifikowanego Boga znad stropów sceny: „*Fuck them all!!!*”.

Publiczność, wśród której przeważają dość liczne grupki homoseksualistów, z wypiekami śledzi każdy ruch zgrabnych, półnagich ciał, ustanawiając ranking swoich ulubieńców.

Na premierze, po przeniesieniu spektaklu ze sceny narodowej na West End, rozdawane są lizaki. Początkowo, gdy chłopcy niewinnie bawią się w „siostry”, wszyscy traktują to jako niezłą zabawę. Jednak w czasie ostrzejszych scen lizak w rękę zmienia nagle swoją niewinną funkcję, czyniąc z oblizujących się widzów perwersyjnych *voyeurów*. Ale nikt nie protestuje, choć nie wszyscy kontynuują lizanie. Politycznie poprawna publiczność brytyjska nie śmiałaby oburzać się na czyjeś poglądy czy tożsamość seksualną, nic gorszego niż być posądzonym o małomiasteczkowość i brak tolerancji. Odkładałam na bok poprawność i przyznaję, że bawiłam się nieszczerze. Czuję się, jakby zmuszono mnie do oglądania pedestrii w filmie pornograficznym, gdzie tak zwany wątek dramatyczny nie ma żadnego znaczenia. Mogę mieć ku temu jeszcze wiele okazji, gdyż po kilku odwiedzinach na West Endzie i nieopatrznie dokonaniu zakupu biletów przy użyciu tutejszego skomputeryzowanego systemu już zaklasyfikowano moje teatralne zainteresowania i włączono mnie do określonej grupy marketingowej. Jestem na bieżąco informowana o gejowskich nowościach. Teatr już wie lepiej, jaka jest moja płeć.

Coś dla dziewczynek:

„Przyznaj się do swojej waginy!”

„The Vagina Monologues” („Monologi waginy”) amerykańskiej autorki Eve Ensler grano już niemal w każdym miejscu na ziemi, zachęcając do łączenia się w proteście przeciwko przemocy wobec kobiet. Temat poważny, zadanie szczytne, ale realizacja daleka jest od założeń, gdyż opiera się głównie na wątej strukturze kilku monologów, a całość ma charakter minipsychodramy w amerykańskim stylu – czyli szybko, powierzchownie, rozrywkowo



i koniecznie z gwiazdami. Nie oszukujmy się, że to coś więcej niż kolejny „seksualny” *show*. W każdym kraju „Monologi waginy” mają swoją wersję. Na West Endzie reklamowane są jako szokujące, najbardziej skandaliczne, najśmieszniejsze i najseksowniejsze widowisko w Londynie.

Na krwistoczerwonym tle aksamitnych kotar gwiazdy (między innymi Amy Irving, Sophie Dahl, Lisa Stansfield, Caprice i Jerry Hall) siedzą na barowych stołkach, odkładając na boczne stoliczki kolejne kartki z odczytywanymi monologami. Już na początku wrażenie robi zestaw słów, jakimi określana jest wagina. Przyznaję, że mój podręczny „Słownik slangu i potocznej angielszczyzny”, który szybko stał się niezbędnikiem wyposażenia w odwiedzaniu londyńskich teatrów, okazuje się za skromny w rozdziale poświęconym sek-

sowi. Kolejne określenia wywołują piski, wybuchy śmiechu albo zażenowanie i szok – szczególnie mocne jest *cunt*, które najdelikatniej można przetłumaczyć na język polski jako „p***a”. W dalszej części jest wystarczająco dużo atrakcji. Zagłębianie się w nieskończone przepaści wagin bez konieczności penetracji, dowcipy o tym, co założyłaby twoja wagina, gdyby mogła się ubierać (...beret! – przechodzi „francuski okres”), efektowne fingowanie potrójnego orgazmu przy zachęcających okrzykach całej sali, zmysłowa odmiana na wszystkie sposoby słowa *cunt*, hasła typu: „Cipki, łączcie się!”, trochę poważniejszych momentów, na przykład statystyka zgwałconych i torturowanych wagin, głównie bośniackich. Jest też *protest-song*: „...moja wagina jest wściekła! Chce wolności, pocałunków, czekolady, chce wszystkiego!”.



FOT. REVEAST NEWS (2)

Publiczność niemal w całości składa się z piszczących, rozbawionych, rozentuzjasmowanych kobiet w różnym wieku. Kolorowe koszulki z firanek (za to bez bielizny), džinsy z karonką, łańcuchy na biodrach. Jak na złość, chyba jedyny na sali nobliwy, starszy pan rozsiadł się właśnie obok mnie. Razem z dżentelmenem krzyczymy z całą salą: „*Cuuunt!!!*”. Nikt nie ma prawa sądzić, że jesteśmy pruderyjni, mamy coś przeciwko miłości lesbijskiej, nie jesteśmy świadomi swojej waginy lub nie akceptujemy wolności wagin całego świata. Następnego dnia biegnę kupić sobie firankę, łańcuch i czekoladę. Nie wolno oszczędzać na wolności.

Dawać mi tu Rasputina!

Odczuwając wyraźną potrzebę zobaczenia czegoś poważniejszego, prosto z marszu ra-

Gwiazdy w epizodach komedii „The Play What I Wrote”: Sting w kobiecym, Jerry Hall w mnisim przebraniu

zem ze znajomą wyruszamy do Royal National Theatre. Mam nadzieję, że nie trafimy na kolejny musical. I tak nie ma wyboru. Bilety są na jedno wieczorne przedstawienie zatytułowane „Wonder of Sex” („Cud seksu”) Patricka Barlowa. To chyba jakieś przekleństwo. Na scenie przedstawiającej ogromne współczesne laboratorium przy wykorzystaniu całej teatralnej maszynierii dwójka aktorów z niezwykłą pasją i oddaniem, zmieniając co chwilę kostiumy, odgrywając po kilka ról naraz, prezentuje najsłynniejsze przypadki seksualne w dziejach świata. Oglądamy więc Kleopatę, Casanovę, carycę Katarzynę, kochanka lady Chatterley, orgie Rasputina i teorie Freuda. Nie udaje się

jednak bezpiecznie usiedzieć w fotelu. Po każdym epizodzie światło na widowni się rozjaśnia, a nasi gospodarze zagadują publiczność o własne doświadczenia, chcąc najwyraźniej doradzić w co intymniejszych sprawach. Wszystko ma formę zabawy, lecz powoli zaczynamy panikować, kiedy krąg pytań wyraźnie się zawęża. A zaczęło się zupełnie niewinnie: od ustalenia, kto z kim przyszedł i dlaczego. Nie zdziwiłabym się, gdyby po sprytnych pytaniach prowadzących do szczerych wyznań doszło potem do burzliwych zerwań, rozwodów lub szczęśliwych połączeń.

Dzięki zmyślnej klasyfikacji widowni wiem już, że trzy rzędy dalej siedzi facet z kochanką o lesbijskich doświadczeniach, tuż za mną trójka gejów i grupa z zakładu pracy, obok wojująca feministka z matką, a przede mną Włosi w delegacji gotowi na wszelkie doświadczenia tej nocy. Razem z koleżanką jesteśmy teraz w grupie osób badanych z powodu przyścia do teatru z przedstawicielem tej samej płci. Kiedy wszystko jest jasne i znany jest stosunek każdego do rewolucji seksualnej, wśród publiczności rozdzielone zostają role w następnych epizodach. Podpowiadamy, gdzie się ukrył króliczek, interpretujemy teksty z rozrzuconych kartek i śpiewamy kanony, rywalizując z prawym i środkowym skrzydłem widowni. Kulminacją jest orgia Rasputina, a właściwie przerywająca ją rewolucja październikowa w postaci galopujących po scenie kozaków (20 osób z widowni), którzy zostają pojmani i rozstrzelani z wielkim hukiem. Tłum szturmujący Pałac Zimowy (czyli my) wydziera się wniebogłosy, z nienawiścią wygrażając białogwardystom z prawego skrzydła, którzy, bidule, męczą się z rosyjskim tekstem, jaki mają wykrzyczeć w odpowiedzi.

Scena już nie jest potrzebna, publiczność bawi się sama. W końcu wiemy już o sobie nawzajem więcej niż członkowie własnych rodzin. Kiedy umęczona, z bolącym gardłem, opuszczam widownię, zaczynam rozumieć, że tu nie da się zanurzyć w tłumie. Jestem wpisana w jakąś kategorię publiczności przez swą rasę, płeć, wiek i teatralne wybory.

A więc koniec anonimowości! Dobry wieczór, West Endzie. To ja. Biała kobieta bez rasowych uprzedzeń, klasa średnia (sympatyzująca z plebem), zarzucony styl gotycki i romantyczny (bez firanek i łańcuchów), brak reakcji na telewizyjnych komików, orientacja heteroseksualna, mentalność angielskiego dżentelmena, żadnych problemów z Rasputinem i rewolucją seksualną, lecz przechodząca kryzys tożsamości teatralnej. Dziś Barlow, wczoraj Ensler, wcześniej Ravenhill... – wszystko wskazuje na to, że jestem rozpasanym seksualnie, politycznie niepoprawnym gejem z lizakiem, którego wagina gwałtownie domaga się czekolady.

MAŁGORZATA SZUM

Wagina alla polacca



Ścipka, pipka, dziupla, bruzda, etui, króliczek, błam – wyśpiewują triumfalnie cztery panie na sopockiej scenie

Bywało i tak: idzie człowiek po fajrancie do teatru albo i kina, a tu mu wałą – w ramach hollywoodzkiej interpretacji poprawności politycznej – film o *downach*, imigrantach albo innej bidzie, z obowiązkowym wątkiem prześladowania mniejszości i optymistycznym zakończeniem. Kobiłki płaczą, ludziska czegoś się dowiadują, rośnie tolerancja, fundusze charytatywne i zyski przemysłu filmowego.

Z czasem takie „nizowe” tematy weszły również do teatru, co zresztą zrozumiałe, bo teatr doskonale się nada do agitacji, zwłaszcza jeśli przy okazji można złamać jakieś tabu. Ostatnie z nich złamano 21 czerwca w Teatrze Kameralnym w Sopocie, gdzie cztery panie w średnim wieku na pozbawionej scenografii scenie wyśpiewują triumfalny refren, który pozwolę sobie zacytować: „Ścipka, pipka, dziupla, bruzda, etui, króliczek, błam, futerał i ciepłuszka”.

Sopockie przedstawienie „Monologów waginy” amerykańskiej autorki Eve Ensler przygotowało w sumie 11 kobiet: dwie tłumaczki, agentka, reżyserka (Aldona Figura), scenografka, inspicjentka, suflerka i cztery aktorki. A także tłum entuzjastek (z Kingą Dunin, Izabelą Filipak i Ewą Graczyk na czele) manifestujących swą radość w specjalnej dyskusji po spektaklu.

Przedstawienie zostało osnute na materiale literackim w postaci tekstów ćwiczeniowych

do zajęć psychoterapeutycznych dla kobiet mających kłopoty z własną płciowością. Powiedzmy jasno: to żadna dramaturgia. Materiał literacki jest mizerny, co powoduje, że trudny temat staje się jeszcze trudniejszy, a nawet jeszcze gorzej – mało zrozumiwały jak futerał i ciepłuszka.

Pewnie, jak w Ameryce grały to Whoopi Goldberg, Meryl Streep, Susan Sarandon, Kate Winslet i tak dalej, to musiał być sukces. W końcu Stany Zjednoczone to kraj, w którym Helena Modrzejewska odniosła wielki sukces, czytając publicznie książkę telefoniczną, co od stu lat utwierdza nas w zupełnie mylnym przekonaniu, że Amerykanom można każdy kit wcisnąć. Tymczasem jest akurat odwrotnie, czego dowodem są „Monologi waginy”.

W Sopocie gra wtóry garnitur aktorek, jeśli można tak powiedzieć o paniach. Z brakami kondycyjnymi i technicznymi, ale dużą motywacją. Paniom należy się jednak szacunek: wykonały swoje zadania więcej niż przyzwyczajenie, z obojętnością maskującą zapewne niezbywalne poczucie zażenowania, momentami silniejsze na scenie niż na widowni.

Po kolei, jak na psychoterapeutycznym seansie, opowiadały o swoich waginalnych doświadczeniach – od pierwszej miesiączki po krwawe gwałty i mordy na Bałkanach. Problem w tym, że wobec słabości tekstu i braku jakiegokolwiek dramaturgii oglądamy na

scenie cztery aktorki gwałtownie poszukujące środków teatralnej ekspresji. Reżyserka i kompozytor przybywają im z odsieczą i przedstawienie zaczyna odjeżdżać w stronę farsy z kupletami. Jest wesoło. Oklaskom nie ma końca. Całkiem jak na prapremierze „Wesela”, którą krytyk Prokesch skwitował słynnym zdaniem: „Całość kończy się skoczny obertasem”.

Niestety, podobnie kończą się „Monologi waginy”. „Ścipka, pipka, ciepłuszka...” wyśpiewywane sześć razy do rytmu kankana to już materia sceniczna znacznie bliższa sopockim artystom. Publiczność docenia, rytmicznie bije brawo i śmieje się radośnie. Co było do przewidzenia. W końcu Stanisław Lem już dobre 30 lat temu w „Kongresie futurologicznym” przepowiedział:

*Tylko głupiec i kanalia
lekceważy genitalia,
bo najbardziej dziś jest modne
reklamować części rodne.*

Poprawność polityczna nakazywałaby w tym momencie zakończyć. Jednak mój głębok i zgola prawdziwy szacunek dla feministek nie pozwala. Przedstawienie uważam bowiem za okropne, a całą manifestację za głęboko szkodliwą.

„Monologi waginy” pewnie rozleją się po teatrach, gdzie niespełnionych aktorek mnóstwo. Przy tym okazało się, że taki temat – a można! I właśnie ta łatwość wydaje mi się najsmutniejsza. Nie ma bowiem żadnego skandalu, łamania tabu, pikiet Radia Maryja, i raptem 11 pań wykazuje, że nie było wyraźnych powodów, dla których przez setki lat ludzie nie wymawiali publicznie pewnych słów i nie rozmawiali publicznie na niektóre tematy. Okazuje się, że było to błędem i efektem kulturowych represji... Dyskutujące po premierze feministki wyrażały nadzieję, że przynajmniej część pań po powrocie z teatru obejrzy w lustrze swe prawdziwe waginy.

Cóż, pewnie nie jestem najwłaściwszą osobą (zważywszy na płeć, wiek i łysinę), żeby przypomnieć, iż są kobiety ze swoją waginą blisko zaprzyjaźnione oraz inne, które tej znajomości zawierać nie mają ochoty. I jedno, i drugie mogą się poczuć tą manifestacją wyłączone z oczywistej dotąd wspólnoty płci. Czy to chodziło?

MENDEL GDAŃSKI

Eve Ensler „Monologi waginy”, przeł. Hanna Szczerkowska, reż. Aldona Figura, scen. Małgorzata Szydłowska, muz. Tomasz Krezymon, prapremiera polska w Teatrze Wybrzeże – Teatr Kameralny w Sopocie, 21 czerwca 2002

Mord w bladocytrynowych rękawiczkach

JAROSŁAW KRAWCZYK

Niektórym z moich kolegów marzy się historia sztuki bez nazwisk. Dzieje malarstwa to dla nich tylko ewolucja „życia form”. Jest w tym niemało racji, bo niewiele ciekawego można napisać na przykład o biografii Matejki. Wszelako bywają też fascynujące żywoty artystów. Najmiej – taka już moja natura – pisze mi się o charakterach mrocznych, nawet demonicznych. Zapraszam więc na krótkie *rendez-vous* z takim właśnie typkiem.

Na oko było w nim tyle demona, ile – jak powiada Bolesław Prus – trucizny w zapalcie. Świadczy o tym literacki autoportret, jaki pozostawił po sobie nasz bohater. Widzimy na nim człowieka około trzydziestki ubranego w błękitną kurtkę wojskowego kroju. Pierścienie na rękach, antyczna kamea w spince do krawata, chustka nasączona wschodnimi wonnościami, tudzież bladocytrynowe rękawiczki z cielej skóry znamionują rasowego dandy-sa. I „diabło dobrze w nich wyglądał”, jak twierdził o nim sam Byron.

Ich właściciel urodził się w Richmond w roku 1794 pod nazwiskiem Thomasa Wainwrighta. Rodzice odumarli go w dzieciństwie, wychowywał go dziadek Ralph Griffiths, bogaty wydawca, który zbił majątek na bestsellerze epoki, lubieżnej powiastce Johna Clelanda „Fanny Hill”.

Młodego Thomasa uwiodło jednak z początku malarstwo i na tym polu odniósł nawet pewien sukces, wystawiając głośny portret lorda Byrona. Jednakże prędko porzucił pędzel i zatrudnił się w magazynie literackim „The London Magazine” w charakterze krytyka artystycznego. Było to zresztą znakomite pismo, pisali w nim między innymi Charles Lamb i Thomas de Quincey, autor słynnego eseju „Morderstwo jako jedna ze sztuk pięknych”. Pośród nich Wainwright całkiem nieźle dawał sobie radę – to chyba on pierwszy potrafił docenić wielkość Williama Blake’a.

Dzisiaj jednak jego teksty wydają się nieznośne: to egotyczne gawędki, w których mało o sztuce, a mnóstwo o nim samym. Znawcy literatury angielskiej klasyfikują go w tak



Thomas Griffiths Wainwright, *Autoportret więzienny* (1843), z dopiskiem artysty: „Oto głowa więźnia, charakterystyczny przykład przebiegłości, z jaką prawo dokonuje swej zemsty”

zwanej *dandy school* czy „szkole srebrnego widelca”, której najwybitniejszym przedstawicielem był Benjamin Disraeli, późniejszy premier Wielkiej Brytanii. Prawdziwą sławę zdobył Wainwright jednak jako morderca.

Wainwright żył w ciągłych długach, w jakie wpędzała go jego wytworna, a kosztowna pasja kolekcjonerska. W roku 1829 postanowił dla podreperowania kieszeni wykorzystać rodzinę swej żony.

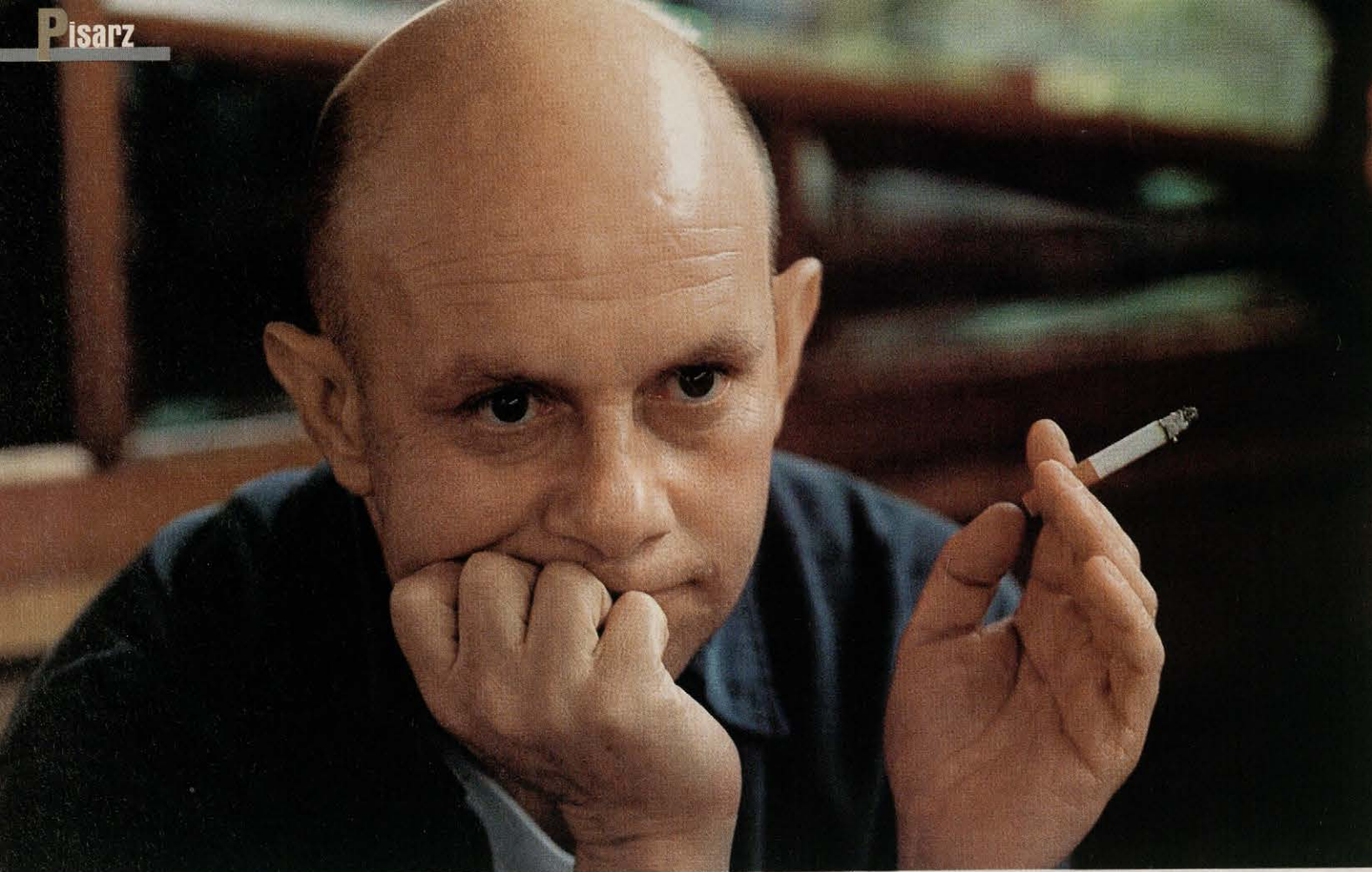
Wpadł mianowicie na pomysł ubezpieczenia na życie swej szwagierki panny Helen Abercromby w dwóch renomowanych towarzy-

stwach asekuracyjnych. Dziewczyna była półsierotą, tylko matka miała prawo do obu polis po ewentualnym zgonie młodszej córki. Od chwili gdy Helen namówiona przez szwagra wykupiła polisy, wypadki zaczęły się toczyć z zastraszającą prędkością.

Matka Helen umiera w męczarniach krótko po spisaniu testamentu na korzyść starszej córki. W ten sposób morderca, który całkowicie opanował swą żonę, usunął ostatnią przeszkodę na drodze do zagarnięcia polis – jako mąż starszej siostry stał się rzeczywistym opiekunem Helen. 13 grudnia Helen umiera w identycznych okolicznościach co matka. W obu przypadkach tragedia rozpoczynała się od strasznych bólów żołądka, potem następował pozorny kryzys choroby, następnie – śmiertelny atak. Sekcja nie wykazała nic niepokojącego.

Wainwright rozwinął tu bowiem wysoce kunsztowną technikę trucia. Na początku traktował ofiary strychniną, a potem, gdy wydawało się już, że pokonały chorobę – wykańczał antymonem. Stąd cały proces wyglądał „naturalnie”. W ten sposób, zainwestowawszy w polisy raptem 220 funtów, zarobił aż 16 tysięcy, które były mu winne towarzystwa ubezpieczeniowe. Te jednak zwietryły coś złego i odmówiły wypłaty. Wtedy zabójca w akcie desperacji odwagi wytoczył proces towarzystwu Imperial. A gdy sprawa zaczęła przybierać dla niego zły obrót – uciekł do Francji.

W roku 1835 Bank Angielski odkrył jego kolejną sprawkę – fałszerstwa bankowe, co natychmiast postawiło go w stan oskarżenia. Dlatego kiedy w roku 1837 potajemnie powrócił do kraju, dopadła go policja. Skazano go na dożywotnią deportację do Tasmanii, na angielski Sybir, gdzie zmarł 10 lat później. Na Tasmanii wrócił jednak do malowania, tworząc serię portretów tamtejszej elity, to znaczy dozorców i lekarzy więziennych. Dla historyka sztuki, zwłaszcza australijskiej, to optymistyczny koniec, albowiem Wainwrighta umieszcza się dzisiaj pośród najwybitniejszych malarzy wczesnotasmańskich. Ale to już nie moja bajka. ■



O niedorostłych chłopakach

Jeśli sukces literacki mierzyć liczbą sprzedanych egzemplarzy albo wysokością hollywoodzkich stawek za prawa do ekranizacji, to tytuł króla angielskiej powieści ostatnich lat przypadłby w udziale Nickowi Hornby'emu

Rzecz jasna, na tronie zasiadłby obok J.K. Rowling, autorki sagi o Harrym Potterze, której globalne triumfy stały się podręcznikowym wręcz wzorem docierania do odbiorców w wieku od lat ośmiu do 80; ale w kategorii najpoczytniejszych książek dla chłopców powyżej 18. roku życia Hornby mógłby się czuć bezpiecznie. W każdym razie na rynku anglosaskim, gdzie jego powieści biły pod koniec ubiegłego stulecia rekordy popularności, torując jednocześnie drogę nowemu kierunkowi – *lads lit*, czyli literaturze popularnej, niepozabawionej przy tym pewnych ambicji artystycznych, adresowanej zaś przede wszystkim do mężczyzn.

Zwiastunem tego trendu była debiutancka powieść Hornby'ego „Fever Pitch” (w wolnym

przekładzie „Futbolowa gorączka”) opublikowana w roku 1992. Jak to często z debiutami bywa, autor postanowił oprzeć się na własnej biografii. A że od lat był zapalonym kibicem Arsenalu, podzielił się tą obsesją z głównym bohaterem – nauczycielem z północnego Londynu żyjącym wedle kalendarza ligowych pojedynków w sezonie 1988–1989. Nick Hornby doskonale znał nie tylko emocje i nastroje fanatyka piłki, lecz także realia nauczycielskiego życia, jako że po studiach pracował w szkole średniej. „To autentyczność każdego słowa sprawiła, że książka przebiła się przez tak silne na Wyspach podziały klasowe” – twierdzili potem krytycy.

I rzeczywiście, powieść przypadła do gustu zarówno nastoletnim szalikowcom, jak i nieco

starszym bywalcom trybun, którzy odnaleźli w niej głos swego pokolenia. W ten sposób Hornby (rocznik 1957) zdobył setki tysięcy lojalnych fanów.

Jak strzelić w okienko

Czy mógł się spodziewać tak oszałamiającego sukcesu? W wywiadzie dla „Observera” wspominał: „Czułem, że ta książka będzie sprzedawać się lepiej niż inne debiuty. Wiedziałem, że jeśli zagorzali kibice gotowi są wydać 40 dolarów na pościel w barwach klubowych, to wydadzą też 20 na pierwsze wydanie książki w twardej oprawie. Większość ludzi z branży księgarskiej, z którymi rozmawiałem, nie zdawała sobie jednak z tego sprawy. I dlatego odrzucali propozycję wydania »Fever Pitch«, twierdząc, że książki o piłce nożnej najzwyczajniej »nie idą«”. „Futbolowa gorączka” szybko zwerifikowała te sady; ryzyko podjęte przez oficynę Gollancz stokrotnie się opłaciło. Krótko potem przyszedł sukces opartego na książce monodramu wystawionego na londyńskim West Endzie, aż wreszcie „Fever Pitch” trafiła na ekrany z Colinem Firthem w roli głównego bohatera.

W roku 1995 pojawiła się druga powieść Hornby'ego „High Fidelity” (w Polsce znana pod tytułem „Wierność w stereo”). I tym razem autor pełnymi garściami czerpał z własnych doświadczeń. Akcję ponownie osadził w północnym Londynie, a bohatera pracującego w specjalistycznym sklepie płytowym obdarzył obsesyjną miłością do muzyki (sam ma ponoć niemal religijny stosunek do soulu i Marvinu Gaye). I znów... sukces. Sprzedano ponad milion egzemplarzy, akcję wersji filmowej przeniesiono na grunt amerykański, zaś najpoważniejsi wydawcy wdali się w kosztowną licytację, usiłując przyciągnąć Hornby'ego do swoich oficyn. W końcu skusiła go oferta konglomeratu Penguin (wartość transferu – by posłużyć się piłkarskim terminem – przekroczyła dwa miliony dolarów). W takiej atmosferze „złoty chłopiec” brytyjskiej literatury konsekwentnie utrwał swoją pozycję na rynku, pisząc z typowym dla siebie poczuciem humoru historię życiowego nieudacznika, którego przed emocjonalnym uwiązaniem ratuje przyjaźń z 12-letnim chłopcem. Książkę wydano w roku 1998 pod tytułem „About a Boy” („Był sobie chłopiec”). Prawa do jej sfilmowania niemal od ręki zakupił Robert De Niro.

Czy jednak teraz, kiedy film trafia do kin, Hornby nie czuje się odrobinę oszukany ustępstwami, jakie trzeba było poczynić, żeby doszło do ekranizacji? Czy reżyserskie zmiany nie doprowadzają czasem autora powieści do białej gorączki? „Bynajmniej – odpowiadał Hornby – bardzo lubię przyglądać się ludziom na planie filmowym, bo to pewna odskocznia od mojej codziennej pracy w samotności. A sama obserwacja aktorów klasy Hugh Granta czy Toniego Collette'a (odtwórcy głównych ról) jest fascynująca. Oglądanie na żywo tego, co – i jak – wydobywają z książkowych postaci, to sama radość. Pisanie nie sprawia mi szczególnej przyjemności, natomiast film tak, zwłaszcza że nie muszę przy nim niczego robić”.

Chłopaki na życiowym zakręcie

Niełatwe zadania stawiał Hornby swoim bohaterom. W zasadzie każdy z nich jest niedojrzały, by nie rzec – lekko niedorozwinięty emocjonalnie. To ludzie mający ogromne problemy osobiste, lękający się trwałych związków, mimo upływu lat ogarnięci młodzieńczymi obsesjami. Niczym gimnazjaliści w pocie czoła układają prywatne rankingi najlepszych płyt czy jedenastek stulecia. Nieobcy jest im także bardzo współczesny niepokój dotyczący kruszących się pewników społecznych, roli mężczyzny, niepewności w obliczu galopujących przemian (tak celnie oddanej kilka lat temu w bliskiej mu komedii „Goło i wesoło” o bezrobotnych hutnikach, którzy przekwalifikowują się na męskich striptizerów...). Hornby przyznaje, że to poczucie zagubienia pamięta jesz-

cze z dzieciństwa; w wieku 11 lat boleśnie przeżył rozwód rodziców. Później studia na elitarnym uniwersytecie w Cambridge nadwreżyły jego i tak wątłe poczucie własnej wartości: „Wszyscy dokoła wydawali się pewni swego, asertywni, inteligentni. Trochę mnie to przerażało, więc skoncentrowałem się na grze w piłkę i kolekcjonowaniu płyt”.

Rozmowa z aniołem

Zanim zdecydował się na pisanie, otarł się jeszcze o szkolnictwo i pracę w koreańskim koncernie Samsung, która polegała na odbieraniu z lotniska i oprowadzaniu po Londynie firmowych dygnitarzy. Trudno dziś orzec, jak te doświadczenia ukształtowały pisarskie oblicze Hornby'ego, ale prawdą jest, że to za ich sprawą stał się piewcą codzienności, w której czujnym i czułym okiem dostrzega groteskę i patos, komedię przemieszaną z dramatem. Nikt poza nim nie odważyłby się chyba – jak w scenariuszu „Był sobie chłopiec” – na umieszczenie kulminacyjnej sceny w szkole podczas dorocznej akademii z udziałem rodziców. Hornby nie stroni od tego typu literackiego ryzyka, odwołując się w swoich książkach do doświadczeń przeciętnych, choć może coraz częściej zaprawia je nutą gorzkości. Ale trudno się dziwić: w życiu prywatnym radość ojcostwa (syn Danny urodził się w roku 1993) dość szybko przyćmiła diagnozę autyzmu dziecka. Stres i walka z chorobą spowodowały rozpad małżeństwa pisarza. W pewnym sensie problemy te pojawiają się na stronach jego najnowszej powieści „How to Be Good” („Jak być dobrym”), w której zerwie z dotychczasową tradycją i w roli narratora obsadzi kobietę, lekarkę Katie Carr. Czy w takim razie gotów byłby posunąć się jeszcze dalej? I zamienić w literaturę bolesne doświadczenie wychowywania autystycznego dziecka? „Napisać książkę o Dannym? Cóż, uporanie się ze wszystkimi emocjami z tym związanymi zabrałoby mi bardzo wiele czasu. Ale mogę to sobie wyobrazić. Myślę, że zrobiłbym z tego coś wspomnieniowego, jakąś literaturę faktu. Chociaż mogłoby to być zbyt trudne, zbyt bolesne, żeby przetworzyć to literacko”.

Mimo wszystko Hornby podjął się tego wyzwania, opracowując antologię „Speaking With the Angel” („Rozmowa z aniołem”), zbiór współczesnych opowiadań między innymi Roddy'ego Doyle'a, Roberta Harrisa, Irvine'a Welsha, Colina Firtha i samego Hornby'ego. Dochód ze sprzedaży książki przeznaczono na TreeHouse, założoną przez pisarza szkołę dla dzieci z autyzmem. We wstępie Hornby opisał codzienne (a raczej conocne) doświadczenia 70 tysięcy brytyjskich rodziców:

„Chłopiec dotknięty autyzmem śpi pięć albo sześć godzin, to znaczy, że jeśli dotrwa do, powiedzmy, dziewiątej wieczorem, to budzi się

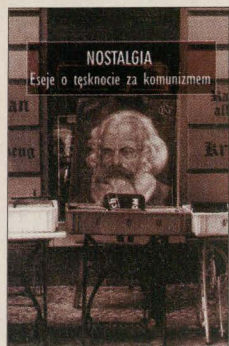
o drugiej albo o trzeciej w nocy. Budzi się zalekniiony i sfrustrowany, krzycząc wniebogłosy, a jego rodzice po trzech godzinach snu znajdują się w stanie skrajnego wyczerpania z domieszką paniki i depresji. Mają niewielkie mieszkanko, ściany są cienkie, więc nie tylko oni nie mogą spać. Za sześć godzin jedno z nich będzie wybierać się do pracy (drugie też by chciało, ale ponieważ brakuje specjalistycznych szkół i przedszkoli, nie może), z tym że zanim to nastąpi, ich dziecko podejmie jakąś próbę samookaleczenia się. Będzie waliło głową w ścianę, być może rozrzuci jedzenie, zabrudzi dywan i na deser – w jedynym znanym sobie języku (bliżej nieokreślone słowo powtarzane z rosnącą mocą mierzoną w decybelach) – będzie domagać się wyjścia na spacer do parku, choć na dworze jest jeszcze zupełnie ciemno...”.

Triumf piewcy zwykłości

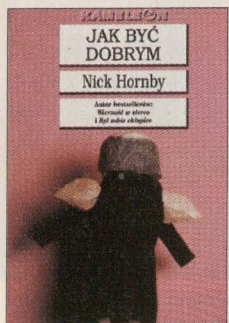
Autor tych słów jest z pewnością nietypową postacią brytyjskiej sceny literackiej. „Angielscy pisarze nie wierzą w siłę emocji albo w odkupienie jako temat dla prozaika, uważają to za przejaw wulgarności. Pod tym względem bliżsi mi są Amerykanie, którzy nie chcą wykopywać przepaści między sobą a czytelnikami, chcą po prostu być poczytni, tu i teraz”. Odstając nieco od branżowej normy, Hornby nie plotkuje zανάdo o kolegach po fachu, stara się zachowywać przyzwoicie (dziennikarze prasy bulwarowej, którzy ochoczo usiłowali zrzucić go z piedestału, wykryli jedynie poszlaki zawodowej rywalizacji ze szwagrem, głośnym pisarzem Robertem Harrisem, autorem między innymi „Vaterlandu” i „Enigmy”).

Hornby zarobił fortunę, ale mimo to nie przeprowadził się do sielskiego pałacyku pod miastem. „Sława nie uderzyła mi do głowy” – zarzekają się znajomi pisarza. Dochował wierności północnolondyńskiej dzielnicy Highbury, choć stare mieszkanie zamienił na większy dom w pobliżu stadionu ukochanego Arsenalu. Codziennie odwiedza synka mieszkającego z żoną. „Danny jest najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła mi się w życiu” – podkreśla w wywiadach. I również każdego dnia na kilka godzin zamyka się w pobliskim biurze, pracując nad kolejną książką. Trochę przeszkadza mu wiedza, że w niedawnym rankingu prasowym zakwalifikowano go do grupy 25 najbardziej wpływowych ludzi na Wyspach. Ale to akurat przydaje się w próbach zwrócenia uwagi na problem autyzmu, a poza tym od czasu do czasu każdy ma chyba prawo do odrobiny samozadowolenia. A takie miejsce w rankingu – jak na piewce przeciętności – to chyba niemało?

TADEUSZ JAGODZIŃSKI,
Londyn



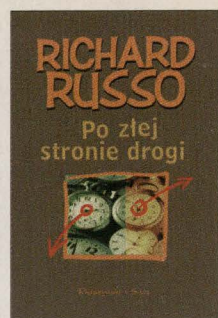
„Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem” Czarne, Wołowiec 2002



Nick Hornby „Jak być dobrym”, przeł. Jerzy Łoziński, Zysk i S-ka, Poznań 2002

To nie są eseje o nostalgii za komunizmem, tylko o mechanizmach zbiorowej pamięci. Od czasu kiedy Milan Kundera opublikował „Tragedię Europy Środkowej”, jednym z najmłodniejszych tematów intelektualnych była kwestia wyznaczników przynależności do środkowoeuropejskiej wspólnoty. W latach 80., kiedy pojęcie Europy Środkowej kształtowane było piórami emigrantów i dysydentów, na plan pierwszy wysuwno wątek polityczny: wspólnym losem był komunizm. Po Jesieni Ludów – w latach 90. – wydawało się, że na nowo trzeba zacząć szukać wspólnego kryterium. Tymczasem – jak wynika z antologii „Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem” – to właśnie coraz mocniej dająca znać o sobie nostalgia za minionym ustrojem jest wspólnym losem społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej. Fenomen nostalgii za komunizmem z jednej strony fascynujący, z drugiej – wydaje się groźny. „Nostalgia żywi się pamięcią, z której usunięto ból – pisał swego czasu Marek Zaleski. – Ból zresztą dotyczy zawsze tego, co terazniejsze”. To wyjaśnia, dlaczego rozczarowani zmianami, jakie zaszły po roku 1989, coraz częściej tęsknimy w Polsce, w Czechach czy Rumunii za światem, który nie dość, że opierał się na czarno-białym podziale na zło i dobro, to jeszcze pozwalał marzyć o zmianach na lepsze. Myślenie nostalgiczne jednak uniemożliwia samookreślenie się wobec własnej historii, a co za tym idzie, przebudowę zbiorowej pamięci. I właśnie ta ważna książka – opisująca pamięć nostalgiczną – do tego celu nas przybliża. (ŁK)

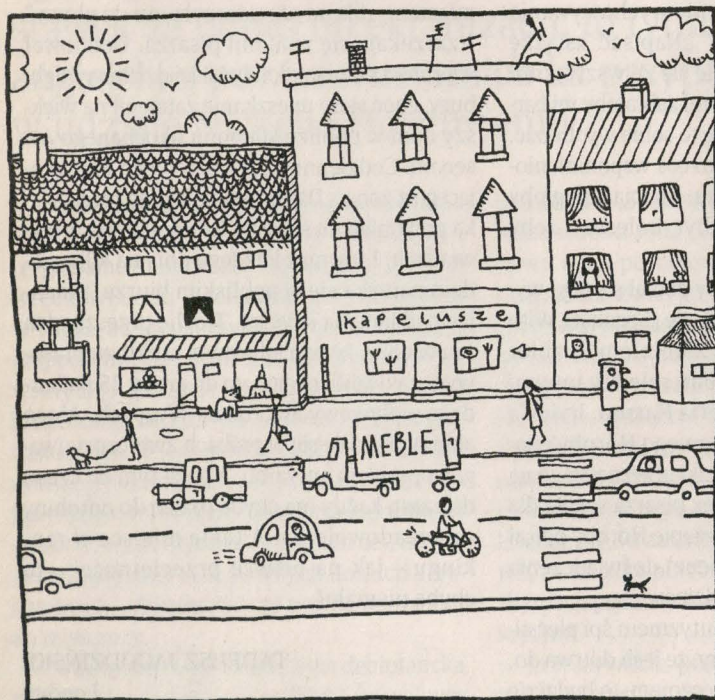
Dla dotychczasowych fanów Hornby'ego („Wierność w stereo”, „Był sobie chłopiec”) jego trzecia przełożona na polski powieść będzie zaskoczeniem. I dlatego, że po raz pierwszy w swojej twórczości ten londyński autor zdecydował się opisać świat z kobiecej perspektywy, i dlatego, że wyszedł poza życie osobiste bohaterów. To nadal pasjonujący wielkomiński realizm, ale... Trudno powiedzieć, czy w „Jak być dobrym” Hornby chce rzeczywiście zde-maskować hipokryzję socjalliberalnej klasy średniej z uprzedzeniami wobec bezdomnych na czele. W końcu sąsiedzi powieściowego małżeństwa dość niechętnie przyjmują ich pod swoje dachy mimo agitacji lewackiego szamana DJ GoodNewsa... Być może – i to wydaje się w tej książce najważniejsze – Hornby po raz pierwszy unika jednoznacznego przesłania, no chyba że tym przesłaniem będzie zdroworozsądkowy umiar w działaniach dobroczynnych i może wcale nie egoistyczne prawo do prywatności. (PDW)



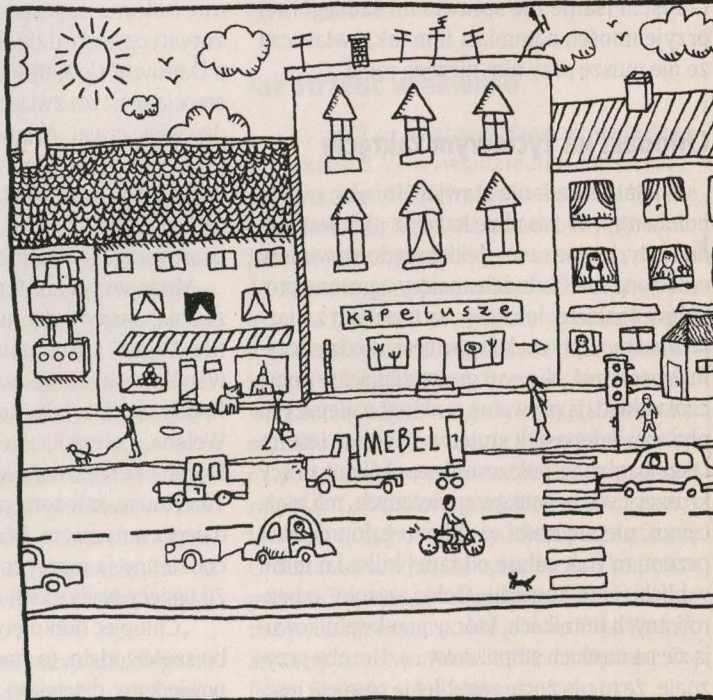
Richard Russo „Po złej stronie drogi”, przeł. Bogumiła Nawrot, Prószyński i S-ka, Warszawa 2002

Mieszkańcy wymyślnego amerykańskiego miasteczka Mohawk problemy mają dość niewymyślne. Ot, żyją, kochają się, choć niekoniecznie wiążą się z tymi, których kochają, więc zdradzają się albo rozwodzą. Żeby odpędzić przytłaczającą nudę, kradną i masowo oddają się hazardowi. Indywidualne dramaty przesłania dramat zbiorowy: miejscowe garbarnie, choć dają pracę większości bohaterów, zatrują też środowisko, więc białaczka zbiera tu obfite żniwo. Ale tragedia nie stanowi osi dramatu, bo rozmywa się w powodzi innych nieszczęść. Wszystkie wątki pozostają niedopowiedziane, zawieszone. W „Po złej stronie drogi” wchodzi się jak w oko cyklonu, ale sam cyklon nie robi porządku w Mohawk, a bohaterowie nie wprowadzą ładu w swoje nieudane życie. Wyreży ich w tym śmierć. Choć ta przypowieść o beznadziei realizowana jest po mistrzowsku, stanowczo odradzam jej lekturę wszystkim zestresowanym, smutnym i samotnym. Polecam zaś (jako instruktaż) czytelnikom marzącym o literackim Pulitzerze. Lub tym, którzy są akurat szczęśliwi – żeby mieli jeszcze lepsze samopoczucie. (MIZ)

WYTĘŻ WZROK...



...i znajdź 15 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Patryka Mogińskiego. Rozwiązanie na s. 73.



Pierwszy krok

Kto nie wierzy, że powieść szpiegowska może być dziełem sztuki, niech czyta Johna le Carrégo



John le Carré to pisarz wyjątkowy. Jeśli sławna formuła Raymonda Chandlera: „Wziąć podrzędny gatunek literacki i zrobić z niego coś na kształt autentycznej literatury” stosuje się do kogokolwiek poza jej autorem, to właśnie do niego. Chandler zrewolucjonizował powieść kryminalną, le Carré sprawił, że poważnie zaczęto traktować także książki szpiegowskie.

Autor „Szpiega doskonałego” skutecznie unieścił stereotypy na temat pracy wywiadu. W jego prozie próżno szukać sztamowych herosów tajnych służb, którzy pilnie strzeżone sekrety zdobywają równie łatwo jak względy pięknych pań. Jego szpiegdy to ludzie zmęczeni i pełni wątpliwości, uwikłani w wywiadowczą biurokrację i wewnętrzne intrygi pochłaniające ich niekiedy nie mniej niż walka z prawdziwym czy wymagowanym przeciwnikiem. Zresztą, walka owa okazuje się daleko bardziej żmudna, dwuznaczna moralnie i przygnębiająca niż wesołe przygody Jamesa Bonda i jemu podobnych. Bo też John le Carré nigdy nie pisał ku pokrzepieniu serc.

Jego rewelatorstwo polega jednak nie tylko na nowym potraktowaniu starego tematu. Oddając mu honory jako twórcy realistycznego obrazu szpiegowskich zmagani, kronikarzowi zimnowojennego obyczaju czy przenikliwemu analitykowi pracy najtajniej-

szych instytucji, nie można zapominać, że jest przede wszystkim pisarzem. O odrębności i sile jego książek stanowią więc także czysto literackie walory. Z tego punktu widzenia najważniejszy jest właśnie ów stylizyczny naddatek, wyrafinowana narracja, z pozoru (albo naprawdę) nieistotne dla rozwoju intrygi dygresje, rozbudowane opisy i kunsztownie meandrujące frazy. Znaczącym przedmiotem nie trzeba przekonywać, że lecarriańska ironia i sarkazmem dałoby się obdzielić tuzin renomowanych zgryźliwców, a ze znakomitych zdań i świetnych akapitów, którymi naszpikowane są jego książki, można by ułożyć całkiem niezłą antologię poematów prozą.

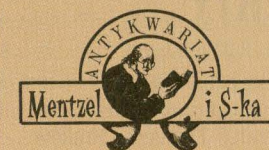
Okazja, dla której przypominam te wszystkie oczywistości, jest nader podniosła. Doczekaliśmy się oto po 41 latach polskiego przekładu pierwszej powieści le Carrégo zatytułowanej „Budzenie zmarłych”. Ta debiutancka książka nie odniosła wprawdzie większego sukcesu – okazało się nim dopiero wydanie „Ze śmiertelnego zimna” w roku 1963 – ale, zwłaszcza czytana dzisiaj, jest z co najmniej dwóch powodów szalenie intrygująca. Po pierwsze, w „Budzeniu zmarłych”, ponurej opowieści o zlikwidowaniu działającej w Londynie NRD-owskiej siatki szpiegowskiej, przyjrzyć się możemy le Carrému najwcześniejszemu, w punkcie wyjścia. Wszystkie miłe osobliwości jego stylu obecne są tu na ogół w stadium załazkowego. Brak jeszcze rozmachu cechującego rzeczy późniejsze, ale – chciałoby się rzec – tym lepiej. Dla wielbicieli pisarza to świetny pretekst, by jeszcze raz prześledzić jego rozwój. Dla nowicjuszy zaś – doskonałe zaproszenie do pierwszego kroku w obręb tego piarstwa.

Po drugie, tutaj właśnie pojawia się najślawniejszy bohater le Carrégo – George Smiley, przewijający się w wielu następnych książkach, już to w epizodach, już to w roli pierwszoplanowej, jak w sławnej „trylogii Smileyowskiej” (cykl złożony z powieści: „Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg”, „Jego uczniowska moc” i „Ludzie Smileya”). Bez Smileya trudno sobie wykreowany przez le Carrégo świat wyobrazić. To wokół tej tragicznej, złowieszczej i groteskowej zarazem postaci koncentrują się główne wątki jego dzieła. George Smiley – oksfordczyk, subtelny badacz literatury niemieckiej; George Smiley – budzący politowanie jako notorycznie zdradzany mąż; George Smiley – błyskotliwy funkcjonariusz brytyjskiego wywiadu, sentymalny, bezwzględny i nękany wyrzutami sumienia; George Smiley – ostatnia ostoja tajnych służb Korony Brytyjskiej staje przed nami już na pierwszej stronie „Budzenia zmarłych”: „Niski, tusty, o spokojnym usposobieniu, wyglądał tak, jakby mnóstwo pieniędzy wydawał na naprawdę okropne ubrania, które wisały na jego przysadzistej sylwetce jak skóra na skurczonej ropusze”.

Tak się to wszystko zaczyna. I nie sposób nie zazdrościć tym, dla których będzie to pierwsze spotkanie z Georgem Smileyem i Johnem le Carrém. Najlepsze mają przed sobą.

MARCIN SENDECKI

John le Carré „Budzenie zmarłych”, przeł. Radosław Januszewski, Amber, Warszawa 2002



Gustaw Flaubert, „Szkoła uczyć. Dzieje pewnego młodzieńca”, przełożyła Aniela Micińska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1956, 483 s.

„Największa, a w każdym razie najokrutniejsza powieść XIX wieku” – pisał o „Szkoła uczyć” wybitny polski krytyk literacki. „Powieść o kształtowaniu się indywidualności człowieka, powieść rozwojowa, wychowawcza, „Bildungsroman”, ale w wydaniu odwróconym i konsekwentnie zaprzeczonym. Któż nie zadrżał nad tą „historią pewnego młodzieńca”, owego Fryderyka Moreau, z którego doświadczeń nic nie wynika?”. A przecież kiedy – ambitny, zdolny, pełen nadziei, olśniewających planów, marzeń o karierze i miłości – Fryderyk zjawia się w Paryżu w roku 1840, ma przed sobą wszystko. Jak to się stało, jak do tego doszło, że niczego nie doprowadza do końca i sam kończy niczym? Oto typowy bohater „epoki przejściowej” – tłumaczono. Epoki zawiązanych nadziei, kiedy radykalne zmiany sytuacji społecznej nie przynosiły zapowiadanych i oczekiwanych skutków. „Między tym, co się już wyczerpało, a tym, co jeszcze się nie rozwinęło, istnieje zło nieznanne, które w najróżniejszy sposób ciąży na wszystkich egzystencjach, wykrzywia talenty i kieruje ku złu to, co mogłoby stać się dobrem, unicestwia tak wielkie, jak i małe ambicje, zużywa, zdradza i wykoleda wszystko – i w końcu pogrąża tych najmniej złych w biernym egoizmie” – komentowała powieść Flauberta George Sand. I dodawała zaraz, że Fryderyk nie byłby postacią typową, gdyby nie upadł z własnej winy, gdyby sam nie był odpowiedzialny za swój los. Fryderyk Moreau – bohater epoki przejściowej, a więc bohater każdej epoki po prostu, ponieważ, jak mówi filozof, „innych niż przejściowe nie oglądała jeszcze historia”. Fryderyk Moreau – bohater współczesny.

ZBMENTZEL@WP.PL

KONCERTY

3 lipca

- Piotr Banaszak & The Best – Kraków

4 lipca

- Piotr Banaszak & The Best – Nowy Sącz

5 lipca

- Joe Cocker, Ryszard Rynkowski – Szczecin, stadion Pogoni
- Hey – Český Brod
- Myslovitz – Sztum
- Lao Che – Płock
- Piotr Banaszak & The Best – Nowy Targ

6 lipca

- Myslovitz – Węgorzewo
- De Mono – Nisko
- Zdrowa Woda – Kołobrzeg
- Stachursky – Kołobrzeg, amfiteatr
- K.A.S.A. – Sandomierz
- Akurat – Ustroń, amfiteatr
- Rei Ceballo, George Clinton, Reni Jusis, Andrzej Smolik – Sopot
- Piotr Banaszak & The Best – Szczawnica
- Fiolka, Palac, La Gozadera – Skierniewice, festiwal Ethnosfera

7 lipca

- Piotr Banaszak & The Best – Krościenko
- Paweł Kukiz – Otmuchów, Rynek
- K.A.S.A. – Szczecin
- De Mono – Kamień Pomorski
- Varius Manx – Złotów
- Voo Voo, Guichen Quartet, Jej Druzina – Skierniewice, festiwal Ethnosfera
- Wrocławska Orkiestra Kameralna: Zagrajmy w tonacji G-dur – Warszawa, Łazienki

9 lipca

- The Exploited – Warszawa, Proxima
- Obstawia Prezydenta – Warszawa, Dekada

10 lipca

- Analogs, Bulbulators, The Exploited – Kraków, Rotunda
- Stachursky – Świnoujście, amfiteatr

11 lipca

- Piotr Banaszak & The Best – Sopot
- Stachursky – Łębork, stadion

12 lipca

- Piotr Banaszak & The Best – Charzykowy
- Joe Satriani – Warszawa, Sala Kongresowa
- Ich Troje – Sopot, Opera Leśna



DAVID BOWIE HEATHEN (Sony)

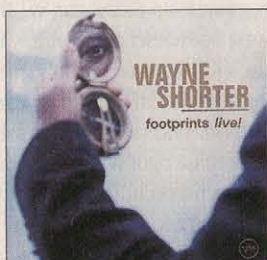
Jeden z najważniejszych artystów swojego pokolenia jest w Polsce muzykiem wielce niedocenianym, znanym głównie z błahych przebojów z lat 80. w stylu „Let’s Dance”. Tymczasem najwybitniejsze albumy Bowiego powstały w latach 70., kiedy artysta bawił się różnymi gatunkami – czerpał z kultury modsów i hipisów, otaczał się blichtrem glam rocka, tworzył własną wersję białego soulu i flirtował z elektroniką u boku Briana Eno.

Najnowsza płyta po okresie fascynacji Bowiego trendami lat 90. (grunge i drum’n’bass) stanowi muzyczny powrót do tamtego, „klasycznego”, okresu. Mimo to „Heathen” brzmi niezwykle świeżo i nowocześnie. Na tej płycie – po latach

ciężko strawnych eksperymentów – są nareszcie piosenki. Wysmakowane, wielowątkowe, niebanalne melodycznie i tekstowo. Często przesyczone abstrakcyjnym, sarkastycznym humorem, ale – jako całość – wyrażające nadzieję na lepsze jutro. W równym stopniu zbudowane z popowej estetyki, jak i z pragnienia wyjścia poza utarty, popowy schemat „zwrotka/refren”. Zestawiające ze sobą pozornie sprzeczne elementy – radość i ból, szept i krzyk, łagodne melodie i rzęzące instrumenty (gościnnie wystąpili Pete Townshend z The Who oraz Dave Grohl z Foo Fighters). Zaskakujące. Ale taki przecież zawsze był Bowie.

WAYNE SHORTER

FOOTPRINTS LIVE! (Verve)



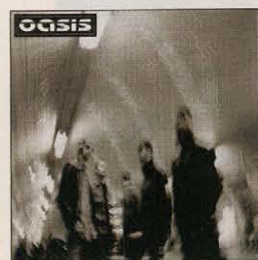
Płyta nagrana podczas ubiegłorocznej europejskiej trasy Shortera to wybór dobrze znanych kompozycji z repertuaru jednego z najwybitniejszych współczesnych saksofonistów, który jazzowe szlify zdobywał u boku największych – Johna Coltrane’a i Milesa Davisa. Muzycy współpracujący obecnie z Shorterem – Brian Blade (perkusja), John Patitucci (kontrabas) i Danilo Perez (fortepian) – nie ustępują mu wirtuozerią i doświadczeniem. „Footprints Live!” nie jest mimo to płytą elitarną, hermetyczną. To jazz dla każdego. Koneserów gatunku zachwyci formalne wyrafinowanie, zaś zwykłych śmiertelników – bogactwo nastrojów i melodii.

MORCHEEBA

CHARANGO (Warner)



Ta grupa dowodzona przez uroczą ciemnoskórą Sky Edwards wypłynęła w połowie lat 90. na fali popularności trip hopu. Styl ten, którego najważniejszymi przedstawicielami są Massive Attack, Tricky i Portishead, z reguły charakteryzuje się spowolnionym, hip-hopowym rytmem oraz melancholijną, elektroniczną oprawą. Morcheeba dorzuciła jednak do tego zestawu odrobinę radości i optymizmu. Najnowszy album do serwowanego przez nią muzycznego koktajlu wnosi fascynację ruchem Brazilian Tropicalia, który łączy brzmienia r&b, soulu i hip hopu. Jeśli dodać do tego zgrabne, pogodne melodie i beztrojską atmosferę, otrzymujemy doskonały „soundtrack wypożyczynowy” na leniwe letnie wieczory.



OASIS HEATHEN CHEMISTRY (Sony)

Chociaż bracia Gallagher dawno przestali być „królami brytyjskiego popu”, każda ich nowa płyta wciąż wywołuje zamieszanie na

listach przebojów. Pierwsze dwa albumy Oasis z lat 90. przywróciły modę na tradycyjne gitarowe piosenki z ładnymi melodiami. Niestety, oszołomieni sławą i kokainą muzycy za bardzo uwierzyli, że są „nowymi Beatlesami”, i zamienili się z czasem w żałosną autoparodię. Nowy album mimo szumnych zapowiedzi dramatycznie rozczarowuje. Brzmienia są tu do znudzenia wtórne, melodie skłcone na siłę, a niewinne niegdyś nawiązania do klasyki rocka – przede wszystkim The Beatles – przyjmują obecnie formę plagiatu. Gdyby to była płyta nieznanego debiutanta, nikt nie zwróciłby na nią uwagi.



COOL KIDS OF DEATH COOL KIDS OF DEATH (Sissy)

Ten zespół ma ambicję stać się głosem pokolenia dzisiejszych dwudziestoparolatków, alternatywą dla „narodowego idola” Kazika. W ich buntowniczych wypowiedziach można się doszukiwać manifestacyjnej pozy przybieranej przez intelektualistów bawiących się w punk, ale da się też dostrzec szczeniacką arogancję i autentyczną frustrację rzeczywistością. Na szczęście ich muzyka broni się bez ideologii – agresywna, motoryczna i melodyjna mieszanka punku, nowej fali, popu oraz elektroniki lat 80. – Pop jest sztuką przejawskawionych, nieco zmanierowanych emocji. Punk ma niezwykłą siłę przebicia. Należy to łączyć – mówią. Gdyby Dezerter debiutował dziś, pewnie brzmiałby jak CKOD.

Dwa tygodnie w kinie

„Gdzie ci mężczyźni?” – zaniepokojona pyta Danuta Rinn w piosence, która stała się przebojem dyskotek gejowskich. Mężczyźni chwilowo wyszli, za to pod dostatkiem jest chłopców – od lat pięciu do 105. Wśród nich prym ostatnio wodzi 38-letni Will o wciąż ujmującej powierzchowności Hugh Granta, bohater komedii „Był sobie chłopiec”. Komedii tyleż pouczającej, co zabawnej. A najzabawniejsze, że reżyserami są bracia Paul i Chris Weitzowie, autorzy dzieła oświatowego na temat wydzierzin nastolatków pt. „American Pie”. Fakt ten budzi w naszych sercach nadzieję, że taki na przykład Olaf Lubaszenko też kiedyś dorośnie i zrobi wreszcie coś dowcipnego.



„Był sobie chłopiec”, reż. Paul i Chris Weitzowie

Na Australijczyka Mela Gibsona to ja już bym jednak nie liczył, gdyż od pewnego czasu z typowo neofickim zapałem bierze udział w dętych amerykańskich widowiskach patriotycznych. To najnowsze, rzekomo o wojnie w Wietnamie – „Byliśmy żołnierzami” Randalla Wallace’a – próbuje łączyć jatkę z kazaniem, co daje efekt niezamierzonej parodii Monty Pythona. Co jest z tym Gibsonem? Dostał etat w komórcie propagandy Białego Domu?

Z zaległości mile rozczarowała mnie „Przepowiednia” Marka Pellingtona. Fabułka, choć podobno oparta na faktach, bzdurna jak wszystkie fabułki traktujące o zjawiskach nadprzyrodzonych (wybaczcie mi, niewiernemu, kapłani „Z Archiwum X”), ale reżyser, na szczęście, nie epatuje, tylko buduje tak zwany nastrój i w kilku scenach całkiem nieźle mu to wychodzi. Więc i Wy nie wychodźcie z kina.

BARTOSZ ŻURAWIECKI („FILM”)



„Przepowiednia”, reż. Mark Pellington

2 festiwal filmowy

NOWE HORYZONTY

cieszyń 18-28 lipca 2002

www.nowehorizonty.com.pl

www.nowehorizonty.com.pl

www.nowehorizonty.com.pl

www.nowehorizonty.com.pl

Można już kupić bilety! Wyszukiwacz prześledź formularz zgłoszeniowy dostępny na stronie internetowej festiwalu - cena 200 zł. Sprzedaż biletów tylko do 8 lipca (liczba ograniczona). Przedsprzedaż biletów od 18 lipca w Cieszyńskim Urzędzie Kultury w godz.: 9:00-15:30 i 18:00-20:00 - cena biletu 10 zł. Szczegółowe informacje o sprzedaży biletów, programie i lokalizacji: www.nowehorizonty.com.pl



Publikowane przez nas opowiadanie pochodzi z tomu „Bajki”,
dotychczas nigdy nie tłumaczonego na język polski.
Utwory te Hermann Hesse napisał w wieku 40 lat
pod koniec I wojny światowej. Pisarz zetknął się wówczas
z jednym z uczniów C.G. Junga, stąd widoczny w „Bajkach”
wpływ jungowskiej psychologii głębi.

POETA

HERMANN HESSE

RYSUNKI STANISŁAW MŁODOŻENIEC

Opowiadają, że chińskiego poetę Hana Fooka przepełniało cudowne pragnienie uczenia się i doskonalenia we wszystkim, co w jakiś sposób należy do sztuki poetyckiej. Gdy mieszkał jeszcze w swej ojczyźnie nad Żółtą Rzeką, zaręczył się dzięki kochającym go czule rodzicom na własne życzenie z pewną panną z dobrego domu; niebawem też miano ustalić termin ślubu na jakiś wróżący szczęście dzień. Han Fook miał wówczas około dwudziestu lat i był przystojnym młodzieńcem, skromnym, pełnym towarzyskiej ogłady, wykształconym i mimo młodego wieku znanym już wśród rodzimych literatów z kilku znakomitych utworów poetyckich. Nie był człowiekiem szczególnie bogatym, mógł jednak oczekiwać dość okazałego majątku powiększonego w przyszłości o posag narzeczonej, a ponieważ dziewczyna wyróżniała się także wielką urodą i cnotliwością, zdawało się, że młodzieńcowi niczego do szczęścia nie brakuje. Mimo to nie był całkiem zadowolony, jego serce bowiem przepełniała ambicja, by stać się doskonałym poetą.

Pewnego wieczoru, gdy na rzece obchodzono święto lampionów, Han Fook wędrował samotnie przeciwległym brzegiem. Oparłszy się w pewnej chwili o pień drzewa pochylonego nad wodą, ujrzał w jej lustrze tysiące pływających, rozedrganych światel, pozdrawiających się z łódek i tratw mężczyzn, kobiety i młode dziewczęta, którzy w odświętnych strojach roztaczali blask niczym piękne kwiaty. Usłyszał cichy poszum rozświetlonej wody, śpiew pieśniarek, dźwięki cytry oraz słodkie brzmienia flecistów i zobaczył, jak błękitna noc unosi się ponad tym wszystkim niby sklepienie świątyni. Młodzieńcowi mocniej zabiło serce, gdy jako samotny widz ulegający własnym kaprysom sycił się tym pięknem. Chociaż jednak bardzo chciał przejść na drugą stronę, znaleźć się w pobliżu narzeczonej i wraz z nią i przyjaciółmi rozkoszować się świętem, to z jeszcze większym utęsknieniem pragnął chłonąć te obrazy oczyma wrażliwego widza, by potem odzwierciedlić wszystko w najdoskonalszym poemacie: granat nocy i grę światel na wodzie, radość biesiadników i tęsknotę niemego obserwatora opartego o pień drzewa nad brzegiem rzeki. Poczuł, że żadne święto, żadna zabawa na tej ziemi nigdy nie napęlnią jego serca szczęściem i pogodą; poczuł, że będąc nawet w samym centrum życia, pozostanie samotnikiem, niejako widzem i intruzem, bo tylko jego dusza pośród wielu innych ma tę właściwość, iż pozwalała mu równocześnie czuć piękno ziemi i tajemne pragnienia milczącego przybysza. Posmutniał i jął nad tym rozmyślać; w końcu zaś doszedł do wniosku, że prawdziwe szczęście i głęboka satysfakcja wówczas tylko staną się jego udziałem, jeśli uda mu się kiedyś w poematach odzwierciedlić świat tak doskonale, by go w tych odbiciach wyjaśnić i uwiecznić.

Han Fook nie wiedział właściwie, czy jeszcze czuwa, czy też zapadł w drzemkę, gdy naraz usłyszał cichy odgłos i spostrzegł, że obok pnia drzewa stoi starzec z wyrazem godności na twarzy, odziany w fioletową szatę. Wyprostowawszy się, Han Fook przywitał go pozdrowieniem należnym starcom i dostojnikom, a nieznajomy uśmiechnął się

i wygłosił kilka wersetów, w których wszystko, co młody mężczyzna akurat odczuwał, było wyrażone tak doskonale, pięknie i zgodnie z zasadami wielkiej sztuki poetyckiej, że młodzieńcowi serce zamarło ze zdumienia.

– O, kim jesteś – zawołał, składając głęboki ukłon – ty, który znasz moją duszę i wygłaszasz wiersze piękniejsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek w życiu słyszałem?

Nieznamy uśmiechnął się ponownie uśmiechem istot doskonałych i rzekł:

– Jeśli chcesz być poetą, przybądź do mnie. Znajdziesz moją chatę przy źródle wielkiej rzeki w górach na północnym zachodzie. Zważ mnie Mistrzem Doskonałego Słowa.

To rzekłszy, starzec wszedł w wąską cień drzewa i po chwili zniknął, a Han Fook, który nadaremnie szukał nieznanego, nie mogąc znaleźć ani śladu jego obecności, nabrał głębokiego przekonania, że wszystko to było tylko rojeniem jego znużenia. Pośpieszył ku łodziom na drugim brzegu rzeki, by przyłączyć się do świętujących, ale w rozgwarze rozmów i dźwiękach fletów dobiegał go wciąż tajemniczy głos nieznanego, tak że zdawało się, iż dusza Hana Fooka podążała za starcem, gdyż młodzieniec siedział jak obcy pośród rozbawionych przyjaciół, którzy przekomarzali się z nim, kpinkując z zakochania i rozmarzonych oczu.

Kilka dni później ojciec Hana Fooka zamierzał zwołać przyjaciół i krewnych, by ustalić dzień zaślubin. Narzeczony sprzeciwił się temu, mówiąc:

– Wybacz mi, jeśli zdaję się naruszać zasadę posłuszeństwa, które syn jest winien ojcu. Wiesz jednak, jak bardzo pragnę wyróżnić się w sztuce poetyckiej, bo nawet jeśli kilkoro przyjaciół chwali moje wiersze, to przecież mam świadomość, że jestem jeszcze nowicjuszem na pierwszym etapie tej drogi. Dlatego proszę cię, pozwól mi udać się na chwilę w samotność, bym mógł poświęcić się moim studiom, wydaje mi się bowiem, że jeśli już zacznę sprawować pieczę nad żoną i domem, odciągnie mnie to od tamtych spraw. Teraz więc, kiedy jestem jeszcze dość młody i nie mam innych obowiązków, pragnąłbym przez jakiś czas żyć jedynie dla swojej sztuki poetyckiej, po której spodziewam się radości i sławy.

Mowa ta sprawiła ojca w zdumienie, toteż rzekł:

– Chyba ta sztuka musi ci być miła nade wszystko, skoro z jej powodu chcesz nawet przesunąć datę ślubu. Ale jeśli zaszło coś między tobą a twoją narzeczoną, powiedz mi, abym dopomógł ci się pojednać lub znaleźć inną.

Syn przysięgł jednak, że kocha swoją narzeczoną nie mniej niż wczoraj i zawsze, i że między nią a niego nie padł nawet cień kłótni. Opowiedział też ojcu, iż w dzień święta lampionów ukazał mu się we śnie mistrz, u którego pobierać nauki pragnie goręcej niż wszelkiego szczęścia świata.

– Dobrze – powiedział ojciec – dam ci rok. Udać się w tym czasie w ślad za swoim snem, który być może zesłał ci jakiś bóg.

– Może będą to nawet dwa lata – odparł Han Fook z wahaniem – kto to zdoła przewidzieć?

Zasmucony ojciec pozwolił mu odejść, a młodzieniec napisał do narzeczonej list i pożegnawszy się, wyruszył w świat.

Po długiej wędrówce dotarł do źródła rzeki, gdzie zobaczył bambusową chatę na wielkim pustkowiu. Siedział przed nią na plecionej macie starzec, którego Han Fook ujrzał podczas święta lampionów obok drzewa nad rzeką. Mistrz siedział, grając na lutni, ale chociaż widział,



że gość zbliża się z głęboką czcią, nie powstał ani go nie pozdrowił; uśmiechnął się tylko i przebiegł delikatnymi palcami po strunach. Czarowna muzyka popłynęła przez dolinę niczym srebrny obłok, tak że młodzieniec przystanął, zadziwił się i w słodkim zdumieniu zapomniał o wszystkim innym, póki Mistrz Doskonałego Słowa nie odłożył lutni na bok i nie wszedł do wnętrza chaty. Z wielkim szacunkiem Han Fook podążył za nim i został jego uczniem i sługą.

Minął miesiąc, w ciągu którego nauczył się gardzić wszystkimi pieśniami, jakie sam wcześniej ułożył, toteż wymazał je z pamięci. Po upływie kolejnych miesięcy wymazał z pamięci również pieśni, których nauczył się w domu od swoich nauczycieli. Mistrz prawie z nim nie rozmawiał, w milczeniu uczył go sztuki gry na lutni, aż całą istotę ucznia przeniknęła muzyka. Kiedyś Han Fook ułożył niedługi poemat, w którym opisał lot dwóch ptaków po jesiennym niebie i który mu się bardzo podobał. Nie śmiał pokazać swojego utworu mistrzowi, ale pewnego wieczoru zaśpiewał go nieopodal chaty i mistrz usłyszał. Nie odezwał się jednak ani słowem. Zagrał tylko cicho na swojej lutni i już po chwili powietrze się ochłodziło, zmierzch zapadł

szybciej, a chociaż była pełnia lata, podniósł się ostry wiatr i po zszarzałym niebie przeleciały dwie czaple gnane wielką tęsknotą wędrówki. Wszystko to zaś było o tyle piękniejsze i doskonalsze od poematu ucznia, że ten posmutniał, zamilkł i poczuł, iż nie jest nic wart. Starzec postępował tak za każdym razem, a kiedy minął rok, Han Fook nauczył się wprawdzie niemal doskonale grać na lutni, ale sztuka poezji wydawała mu się coraz trudniejsza i coraz bardziej wyniosła.

Po dwóch latach młodzieniec poczuł wpływ gwałtownej tęsknoty za rodziną, ojczyzną i narzeczoną, poprosił więc mistrza, by pozwolił mu wyruszyć w podróż.

Uśmiechnawszy się, mistrz skinął głową.

– Jesteś wolny – powiedział – i możesz iść, dokąd zechcesz. Możesz wrócić, możesz tam pozostać, wedle upodobania.

Uczeń wyruszył więc w podróż i wędrował bez wytchnienia, aż pewnego ranka o świcie stanął na ojczystym brzegu i z mostu spojrzął na rodzinne miasto po drugiej stronie rzeki. Wśliznąwszy się chyłkiem do rodzinnego ogrodu, usłyszał z okien sypialni oddech śpiącego jeszcze ojca; zakradł się też do sadu narzeczonej, gdzie z wierchołka gruszy ujrzał, jak jego miła stoi w komnacie i rozczesuje włosy. A kiedy wszystko, co zobaczył teraz na własne oczy, porównał z obrazami, jakie odmalowywał sobie, tęskniąc za domem, zrozumiał, że jego przeznaczeniem jest jednak być poetą; pojął także, iż w marzeniach poetów mieszka piękno i powab, jakich próżno szukać w rzeczywistości. Zszedł więc z drzewa, biegiem opuścił ogród, a potem uciekł z rodzinnego miasta przez most, by wrócić do doliny wysoko w górach. Mistrz jak niegdyś siedział na skromnej macie przed chatą, uderzając palcami w lutnię, i zamiast powitania wygłosił dwa werse o szczęśliwości, jaką daje sztuka, a ich głębia i harmonia sprawiła, że oczy młodzieńca napełniły się łzami.

I Han Fook znowu został u Mistrza Doskonałego Słowa, który teraz, jako że młodzieniec umiał już grać na lutni, uczył go gry na cytrze, miesiąc zaś pierzchały niczym śnieg w zachodnim wietrze. Jeszcze dwukrotnie zdarzyło się, że Hana Fooka zmogła tęsknota za domem. Za pierwszym razem wybrał się tam potajemnie w nocy, ale zanim jeszcze dotarł do ostatniego załomu doliny, nocny wiatr przefrunął po wiszącej na drzwiach chaty cytrze, której dźwięki doścignęły go, wzywając do powrotu, tak że nie zdołał się im oprzeć. Za drugim razem śniło mu się, że sadzi młode drzewko w swoim ogrodzie, a przy nim stoi jego żona, dzieci zaś podlewają je winem i mlekiem. Kiedy się obudził, do izby



zaglądało światło księżyca. Podniósłszy się w oszołomieniu, zobaczył, że obok niego drzemie mistrz, a jego siwa broda lekko drży; Han Fook zapalał wtedy gorzką nienawiścią do tego człowieka, który, jak mu się zdawało, zniszczył jego życie, tumaniąc piękniejszą przyszłością. Chciał się na niego rzucić i zamordować go, ale wtedy starzec otworzył oczy i jął uśmiechać się z delikatną, smutną łagodnością, która rozbroiła ucznia.

– Pamiętaj, Hanie Fooku – powiedział cicho mistrz – jesteś wolny i możesz robić, na co masz ochotę. Możesz wrócić do domu i sadzić drzewa, możesz mnie nienawidzić i zamordować, nie ma to znaczenia.

– Ach, jak mógłbym cię nienawidzić – wykrzyknął poeta z gwałtownym wzruszeniem. – To tak, jakbym chciał znienawidzić same niebiosy.

Został więc i uczył się grać na cytrze, a potem na flecie, później zaś zaczął wedle wskazówek mistrza układać poematy i z wolna poznał ową tajemną sztukę mówienia o sprawach tylko pozornie najprostszych i najzwyczajniejszych, ale tak że złobiłyby bruzdy w duszach słuchaczy, jak wiatr żłobi zmarszczki w lustrze wody. Opisywał nadchodzenie słońca, które ociąga się na skraju gór, bezgłośnie mignięcia ryb, kiedy przemykają pod wodą niczym cienie, albo rozkołysaną, młodą łakę w wiosennym wietrze, i gdy się słuchało jego pieśni, było w nich nie tylko słońce, igraszki ryb i szept łąki, lecz niebiosy i cały świat zdawały się za każdym razem współbrzmieć przez chwilę w doskonałej muzyce, a każdy słuchacz myślał wtedy z radością lub bólem o tym, co kocha i czego nienawidzi; chłopiec o zabawie, młodzieniec o ukochanej, a starzec o śmierci.

Han Fook nie pamiętał, ile lat mieszka już u mistrza nad źródłem wielkiej rzeki; nieraz wydawało mu się, że dopiero wczoraj wieczorem

przybył do tej doliny, gdzie starzec przyjął go grą na lutni, często też miał wrażenie, jakby wszystkie stulecia i epoki przewalały się za nim i stały niereczywiste.

Pewnego dnia obudził się sam w chacie i chociaż wszędzie szukał mistrza i wołał, ten znikł. Zdało się, że nagle nastała jesień, srogi wiatr wstrząsał starą chatą, a nad graniami gór przefruwały wielkie chmury wędrownych ptaków, mimo iż nie nadeszła jeszcze ich pora.

Wziąwszy ze sobą małą lutnię, Han Fook postanowił zejść w rodzinne strony, a gdzie tylko zachodził, ludzie witali go pozdrowieniem, jakie przystoi starcom i dostojnikom. Gdy zaś przybył do rodzinnego miasta, okazało się, że jego ojciec, narzeczone i krewni już dawno pomarli i inni ludzie mieszkają teraz w ich domach. Wieczorem zaś obchodzono na rzece święto lampionów i poeta Han Fook stał po drugiej stronie na ciemniejszym brzegu, oparty o pień starego drzewa. Kiedy dotknął strun swojej małej lutni, kobiety jęły wzdychać, patrząc z zachwytem i trwogą w noc, a młodzi mężczyźni, którzy nigdzie nie mogli lutnisty dostrzec, zaczęli go głośno przyzywać, wołając, że nigdy jeszcze nie słyszeli takich dźwięków. Han Fook zaś uśmiechał się i patrzył na rzekę, po której płynęły odbłaski tysięcy lampionów. A kiedy przestał już odróżniać lustrzane odbicia od rzeczywistych obrazów, zatarła się też w jego duszy różnica między tym a owym pierwszym świętem, gdy będąc młodzieńcem, stał tutaj, słuchając słów nieznanego mistrza.

Przełożyła **ŚLAWA LISIECKA**

„Bajki” Hermanna Hessego ukażą się wkrótce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.



Nogi do góry

BOGUSŁAW DEPTUŁA



Dudziński byłby chyba najbardziej szczęśliwy, gdyby mógł rysować lewą nogą, nie wstając z hamaka. Hamak buju buj i Pokrak gotowy. W tym czasie najlepiej byłoby sobie coś obejrzeć i przeczytać, bo Pokrak i autor Pokraka lubi być we wszystkim na bieżąco. Ptak Dudi miał pióra w generalnym porządku, tylko na głowie nieład. Pokrak był już cały w nieładzie, bo rysowany lewą ręką (?), idealny niechluj, ale za to bardzo inteligentny.

Rzadka to rzecz w polskich realiach coś równie niefrasobliwego jak rysunkowa i malarska twórczość Andrzeja Dudzińskiego. Tu dominującą regułą jest brak reguły. Swoboda w każdym calu i w każdym rysunku. Jak powiedziałby Sienkiewicz – „Bez dogmatu”. Jedno skojarzenie artystyczne przychodzi do głowy najmocniej – David Hockney.

Najbardziej wyczuwalna jest niechęć Dudzińskiego do łatwej ładności – tego boi

się najbardziej. Dlatego stosuje różne wybiegi i nieporządności. W jednym rysunku może się spotkać niemal nieskończenie wiele artystycznych konwencji. Dezynwoltura w ich łączeniu, stosowanie różnych charakterów pisma i kreśki to siła tych prac. Z ucieczki przed stylem zrodził się styl Dudzińskiego. Widać to już od najwcześniejszych rysunków.

Lekkość ma dodawać wybór techniki najłatwiejszej ze wszystkich, czyli pastelu. Pa-

stel nie ma w sobie niczego z powagi i dostojeństwa malarstwa olejnego. Jest szybki, delikatny, ale też łatwy do zepsucia. Trzeba mieć pewną rękę i pewność w sobie, a pastel robi się momentalnie. I tak jest dobrze, bo pracoholizm to straszliwa choroba cywilizacyjna, na którą Dudziński ze wszystkich sił stara się nie zapaść. Od lat pomagają mu w tym jego bohaterowie i on sam, artysta rodem ze swoich rysunków. Zatem, Dudi, nogi do góry!





FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Uprawiaj, smakuj i czuj

Kuchnia zielna

Jedną z najmiłszych ozdób dań letnich są zioła z własnego ogródka, zaś jedną z najmiłszych cech ogródka zielnego – to, że zmieści się na balkonie lub nawet kuchennym parapecie. Zioła można podzielić na takie, które same rosną, oraz te mniej zmotywowane, wymagające różnorodnych zachęt i troskliwej opieki. Do tych pierwszych z pewnością możemy zaliczyć wiele odmian mięty, w związku z czym chciałbym zaproponować Państwu pewien eksperyment. (Jest to eksperyment zwany w żargonie kulinarnym *crossover*, co spolszczyłbym jako „przeszczep”, choć skoro nawet w tekstach niemieckich nazwa ta występuje w brzmieniu angielskim, to zapewne w takiej postaci zadomowi się również w polszczyźnie).

Chodzi o to, żeby w daniach tradycyjnie podawanych z koperkiem wprowadzić na jego miejsce mięte, a jeśli koperkę połączony jest w nich ze śmietaną, zastąpić ją jogurtem. Po co? Dla urozmaicenia, dla zabawy, w poszukiwaniu nowych harmonii smaku. I tak, dla przykładu, młode ziemniaki z mięta skropione odrobiną oliwy z pierwszego tłoczenia mają zupełnie inny charakter niż te tyłane w maśle i posypywane koperkiem. Efekt, jaki odczuć może podniebienie przyzwyczajone do ziemniaków z masłem i koperkiem, w żargonie krytycznoliterackim zwie się defamiliaryzacją, czyli ukazaniem rzeczy znajomej w całkiem nowy sposób. W tym wypadku defamiliaryzacji ulega smak młodych ziemniaków. Lecz to dopiero początek eksperymentu.

Początek, ponieważ młode ziemniaki z mięta i oliwą nie pasują do potraw zwykle podawanych z ziemniakami umajonymi koperkiem. Młoda kapusta kłóci się z ziemniakami z mięta, trzeba więc sięgnąć po coś innego, choćby młodą marchew. Tę najlepiej ugotować na parze, zaś paletę barw na talerzu dopełnić fasolką szparagową lub groszkiem. Jeśli jeszcze nam mało, w miejsce schabowego dorzucamy jagnięcy antrykot z rusztu.

Do baraniny pasuje także mizeria przyrządzona z mięta i jogurtem. Choć pochodzą z nieco innej bajki, w cudowny sposób dopełniają to połączenie malutkie młode buraczki smażone

w cieście na głębokim oleju. Wracając jednak do młodych ziemniaków z mięta, są one stosownym towarzyszem dla kalafiora, o ile nie polejemy go sosem polskim, czyli sklarowanym masłem z bułką tartą i natką pietruszki. Bardziej odpowiedni byłby sos sardelowy, czyli po prostu lekko podgrzana oliwa (może – choć nie musi – być czosnkowa), w której rozgniatamy widelcem kilka sardeli.

Mięta jest także ziołem deserowym. Nie mam na myśli listka mięty, którym przybiera się serniki

cyjnego deseru z okolic Lyonu, którego nazwa znaczy „mózg pracownika wytwórni jedwabiu”. W wersji oryginalnej jest to świeżo odcisnięty twaróg z dodatkiem słodkiej śmietanki, soli, pieprzu i mieszanki ziół ze znakomitą przewagą szczypiorku. Zamiast śmietanki proponuję dodać kilka kropel miodu, zrezygnować z pieprzu, a za jedyne zioło wziąć mięte.

Eksperymentując tak wesoło, prędzej czy później dojdziemy do wniosku, że „przeszczep” nie zawsze są udane i że nie można zastępować jednego składnika innym w sposób mechaniczny. Żadne zioło nie zastąpi koperku w zupie koperkowej – jej charakter został ustalony raz na zawsze.

Innym ziołem odpornym na zaniedbanie ze strony ogrodnika jest rozmaryn, znakomity do baraniny, wołowiny, drobiu, pieczonych ziemniaków, ryb, a nawet włoskiej kapusty duszonej z czosnkiem. Rozmaryn potrafi rozwinąć się w sporej wielkości krzew. Kilka jego liści wrzuconych wraz z paroma ząbkami czosnku do kurczaka, którego następnie pieczemy, czyni cuda. Jeśli po upieczeniu tak przygotowanego kurczaka zjemy tylko udka, zaś pierś zostawimy na następny dzień, do podania na zimno, jej smak i aromat będą zupełnie oszałamiające. Taka strategia wymaga jednak opanowania i samozaparcia, ponieważ pierś naszego kurczaczka podana na gorąco również może przyprawić o zawrót głowy.

Dzięki rozmarynowi łatwo nadamy intensywny aromat połędwicy wołowej pokrojonej na befsztyki. Okładamy je liśćmi rozmarynu, polewamy oliwą i bejczymy przez kilka godzin. Następnie smażymy bądź pieczemy na ruszcie i podajemy z pieczonymi ziemniakami. Zabrzmi to dziwnie, lecz tak przyrządzoną połędwicę można skropić sokiem z cytryny i tylko przyda jej to dobroci. Ryba w całości, do której włożyliśmy kilka gałązek rozmarynu i upiekliśmy, będzie miała niezrównany smak, zwłaszcza jeśli podamy do niej jeszcze majonez czosnkowy.

Dzięki ziołom nawet nudne danie może stać się ekscytujące – jak w przeciwnym razie wytłumaczyć powiedzenie „poczuł do niej mięte”?

TADEUSZ PIÓRO

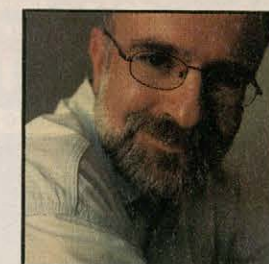


RYŚ. MARIUSZ WILCZYŃSKI

czy inne ciasta lub sorbety, lecz zmasowany atak tego zioła na znużone bądź tylko zbławizowane surowym posiłkiem podniebienie. Atak może przyjąć postać wariacji na temat *cervelle de canut*, trady-

Prawdziwy degustator nie wstydzi się łez

Bajeczna pantomima



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Elisa Canettiego zaprosił na obiad rzeźbiarz Wotruba. Wotruba „odcinał sobie równo kawałki mięsa o regularnym, niemal kwadratowym kształcie i szybko i pewnie wsuwał je do ust. Sprawiało to wrażenie raczej zdecydowania niż łakomstwa, krajanie wydawało się ważniejsze, ale również nie można było sobie wyobrazić, by widelec zatrzymał się w połowie drogi, żeby rzeźbiarz o coś zapytał albo nie otworzył ust, gdy jego partner coś mówił. Kęsy znikły nieubłagane i natychmiast, następne szybko szły w ich ślady”.

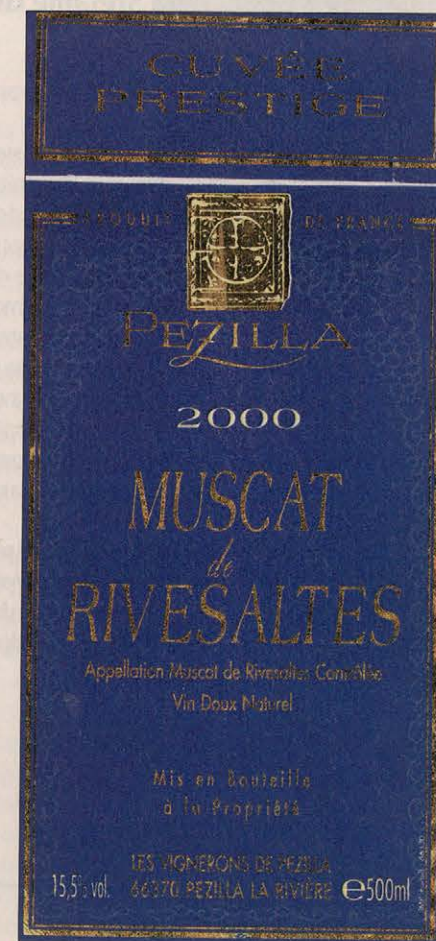
Canetti jadł inaczej: „Sznycle były żyłaste, starałem się usuwać żyły przed zjedzeniem, wciąż znajdowałem nowe, cały czas operowałem nożem; wykrajane żyły zostawiałem na talerzu. Owo obracanie i przekładanie, ta niepewność, piłowanie i dłubanie, owa najwyraźniejsza niechęć do spożycia tego, co leżało przede mną na talerzu, stanowiły takie przeciwieństwo jego zachowania, że zwrócił na to uwagę mimo koncentracji na własnym jedzeniu. Jego ruchy nieco spowolniały, przyjrzał się ruinie na moim talerzu, wyglądało to tak, jakby każdy z nas otrzymał coś zupełnie innego do jedzenia albo jakbyśmy należeli do dwóch różnych gatunków” („Gra oczu”, przełożyła M. Przybyłowska).

Mniem, ten sznycel opisany wydaje się nie mniej smaczny niż sznycel zjedzony, choćby i z żyłami. Ale Canetti dobrze wie, co robi, wpłatając w swą świętą książkę – pełną wspomnień o artystach – opisy konkretnych zachowań przy stole. Nasze formy biesiadowania (selekcja na talerzu, sposób krojenia, trzymania widelca, gest wkładania do ust itd.) ujawniają nasze osobowości i istnieje więź między gimnastyką naszego jedzenia a kształtem naszych myśli, między ciosaniem sznycła przez Wotrubę na talerzu a obrabianiem bryły w jego pracowni.

Muszę zapytać: A jak jest z winem? Czy sposób picia wina też tak się zmienia z osoby na osobę i tyle o każdym może powiedzieć? Raczej nie. Degustacje koneserskie toczą się według rytuału, który obowiązuje wszystkich i hamuje indywidualne ekspresje, lecz w zamian mówi sporo o człowieku jako takim.

No, więc najpierw oglądanie szaty wina. Trzymanie kieliszka na odpowiednią odległość, delikatne nim obracanie, żeby dojrzeć odbicia barw, uporczywe wbijanie wzroku w szkło jak dłuta w ząb. Różnice są niewielkie, w kącie pochylenia głowy i wyprostowania ręki. Nie tak wiele jest też

różnic przy badaniu bukietu wina. Wino trzeba porządnie w kieliszku rozkręcić (dlatego nie należy go nalewać dużo, jedną trzecią maksymalnie), no i przede wszystkim trzeba zbliżyć do kieliszka nos. Na poważnych degustacjach słychać wręcz stadne pociąganie i siapienie, jakby wszystkich dopadł katar albo ktoś wpuścił do sali sfory psów... Istny koncert na nozdrza i powietrze. Niektórzy wsadzają po prostu nos w kieliszek i obwąchują wszystkie ścianki; przypomina to rozpaczliwe wdychanie ostatnich smug narkotyku.



Przy stole rodzinnym czy towarzyskim amator wina czuje się skrupowany i szybkim, dyskretnym ruchem przeciąga kieliszek przed nosem, bo inaczej wypić nie jest zdolny, lecz i idiota z siebie robić nie ma zamiaru. Nic to jednak wobec trudności, jaką następcą etap trzeci – pobranie wina do ust. Jeśli państwo uchybią rytuałowi i porządnie nie zassa, stracą – mówię to z powagą – połowę wrażeń i wydanych pieniędzy.

Co oznaczam tym czasownikiem? Konieczność nabrania w usta wraz z niewielką ilością wina sporej dawki powietrza. Nie jest to trudne, lecz wymaga doświadczenia. Dolna część ust przyjmuje płyn, górna wsysa pustkę, sztuka polega na zgraniu obu ruchów, w przeciwnym razie oblejemy się lub udusimy. Na sali degustacyjnej koncert staje się ogłuszający. Każdy ciумka (i tak to nazywam) na swój sposób, zewsząd rozlegają się odgłosy gotowanej wody, płukania zębów. Co degustator to inna aria gardlana, choć w ramach jednej muzyki.

Przy stole takie zachowanie jest niemożliwe, amatorzy wina, jeśli tylko nie są bezczelni, ograniczają się do skrytego, niemego podbierania tlenu ledwo uchylonymi wargami – łatwo ich wówczas rozpoznać, wyglądają jak karpie w akwarium.

Najciekawsze jest jednak przed nami. Teraz, gdy powietrze wraz z winem dostało się w usta, należy tę mieszankę dobrze przeżuć, rozprowadzić ją po podniebieniu i odczekać chwilę przed przełknięciem (lub wypłuciem). To moja ulubiona chwila obserwacji. Przechadzam się po sali i spotykam nieme spojrzenia, paletę spojrzeń. Usta są pełne, mówić nie można, za to każdy patrzy przed siebie z podwojoną siłą. Są spojrzenia konających, są spojrzenia Meduzy, są spojrzenia szpicli, są spojrzenia mistyczne, ekstazy, spojrzenia zbitego psa i nieodgadnionego kota – cały świat ludzkiego wzroku. I jeszcze gesty ostatnie, już po wypłuciu (lub przełknięciu), zwłaszcza wtedy, gdy wino oczarowuje, porywa. Niektórzy siedzą w ciszy, patrząc tępo w kieliszek. Inni obejmują czoło czułym gestem albo kładą dłonie na oczach. Są tacy, co wstają, muszą gdzieś wyprowadzić swe ciało. Często zdarza się (sam tak robię), że odchodzą w najciemniejszy zaułek, we własną samotność.

Kiedyś widziałem degustatora, który skryty w kącie płakał (po spróbowaniu Château Haut-Brion 86) i nie wstydził się swych łez. Tak, ludzkość odgrywa przy winie spektakl swego niepojętego istnienia; wyraża życie w magicznych gestach. Wiecie, czym jest wino? Wino to bajeczna pantomima.

MAREK BIEŃCZYK

Zimne słońce w cukrze, w sam raz na aperitif w upalny wieczór: pyszny podpireński Muscat de Rivesaltes cuvée prestige 2000 Pezilla (około 50 złotych, podawać w temperaturze siedmiu stopni).

daje słowo

Naprawdę

„Naprawdę” zapewnia o prawdziwości. **Naprawdę?** To prawda: jeżeli coś zrobiłem, to **naprawdę** coś zrobiłem i mogę powiedzieć, że **naprawdę** to zrobiłem. Ale tak powiem tylko (albo: przede wszystkim) wtedy, gdy ktoś wątpi, czy to zrobiłem. Albo przynajmniej może wątpić.

Wtedy jest sens mówienia, że **naprawdę**.

Czyli: wtedy, kiedy to nie takie pewne – dla tych, do których mówię.

A kiedy nie mają powodu wątpić w to, co mówię, nie wierzyć mi, mogą się zdziwić, kiedy mówię „**naprawdę**”. Mówię, że **naprawdę** coś, a oni zaraz myślą, że to podejrzané, bo gdyby tylko i po prostu coś, tobym nie zapewniał, wystarczyłoby powiedzieć, że coś. I mają rację.

Zapewniam i mówię „**naprawdę**”, kiedy to nie jest **naprawdę** oczywiste. Kiedy mogę oczekiwać zaprzeczenia.

Kiedy mówię, że on jest **naprawdę** zdolny, to zwykle wtedy, kiedy mogą być wątpliwości. Chociaż, dla ścisłości, także wtedy, gdy jest **naprawdę** bardzo zdolny. W całym tego słowa znaczeniu. Mówię przez to, że wiem, co mówię. Zdolny. **Naprawdę**. I jeszcze wtedy, gdy dziwię się, pełen podziwu. „**Naprawdę** jest zdolny!”. „**Naprawdę** to zrobiłem!”.

A kiedy dodam do tego pozytywnego „**naprawdę**” pozytywne „tak”, robi się coś dziwnego. Zaprzeczam! Zaprzeczam temu, co przedtem. „Tak **naprawdę** było całkiem inaczej”. Mówię: „Zrobiłem to”. Ale tak **naprawdę** – to niezupełnie...

Jerzy Bralczyk

nie ma głupich pytań

Wiesław Nakonieczny z Gdyni pyta Stefanię Grodzieńską

Jakiś czas temu, dzwoniąc z Warszawy do Krakowa, wybrałem inny niż proponowany przez Telekomunikację prefiks. Właśnie dostałem rachunek na 71 groszy. Za przekaz zapłaciłbym trzy złote. Co zrobiłaby Pani na moim miejscu?

To typowa sytuacja bez wyjścia. Dostałam podobny rachunek, więc zdażyłam gruntownie to przemyśleć. Mogę tylko zaproponować Panu poważną oszczędność: jeśli wyśle Pan żadaną kwotę przelewem bankowym, zapłaci Pan zaledwie dwa złote. Jeszcze lepszym rozwiązaniem jest wysłanie do Operatora Międzygminowego obelżywego listu – zaledwie jeden złoty i dziesięć groszy. I do tego frajda.

Mam pewien sposób na szukanie pocieszenia, kiedy czuję się bezradna wobec jakiegoś zjawiska: przechowuję całą kolekcję wycinków prasowych i depesz agencyjnych. W ciężkich chwilach znajduję wśród nich ukojenie, że bywa gorzej. Tym razem potrzebowałam czegoś budującego na temat biurokracji.

W kwietniu tego roku sąd w Łodzi wezwał 11-miesięczne niemowlę, aby zeznawało w sprawie eksmisyjnej swoich rodziców, ponieważ w rozprawie muszą uczestniczyć wszyscy zainteresowani. Gdyby oeska nie pozwano, wyrok eksmisyjny dotyczyłby jedynie rodziców,

którzy musieliby wyprowadzić się z mieszkania. Niemowlak by w nim pozostał.

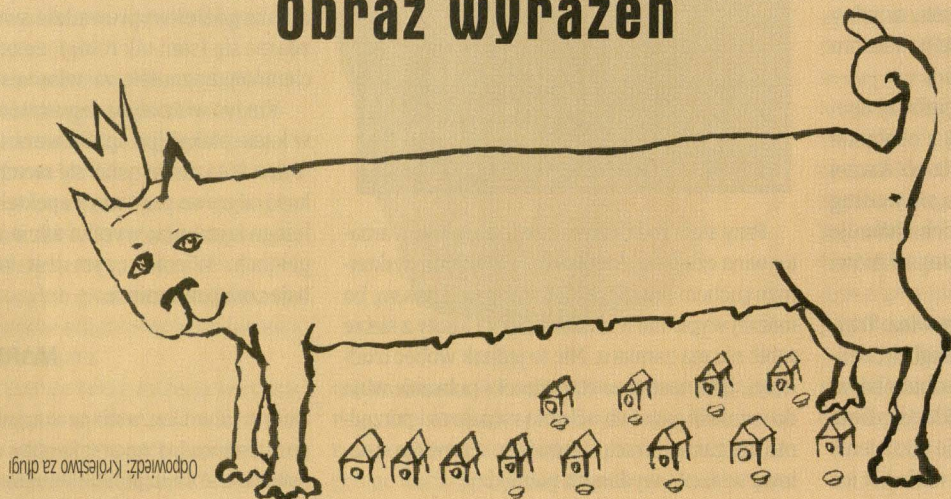
Jeszcze nie czuje się Pan pocieszony? No, to proszę bardzo:

Również w kwietniu do toruńskiego aresztu śledczego zgłosił się poszukiwany listem gończym przestępca, który powinien był odsiedzieć trzy miesiące w areszcie tymczasowym. Okazało się, że areszt śledczy dysponuje wyłącznie dokumentacją dotyczącą odbywania kary. Dokumentacja aresztów tymczasowych znajduje się zaś na policji i tam też odesłano kłopotliwego interesanta. Petent nie posłuchał pracowników aresztu, nie poszedł sam na policję i nadal poszukiwany jest listem gończym.

Skoro wymiar sprawiedliwości działa tak sprawnie, Drogi Czytelniku, to oboje spokojnie zaczekajmy z naszymi wpłatami po 71 groszy od osoby. Wprawdzie narosną nam odsetki, ale wizyta komornika będzie już zmartwieniem naszych spadkobierców.

Zapraszamy do współredagowania tej rubryki! Autorów pytań do Stefani Grodzieńskiej nagrodzimy jej książkami „Już nic nie muszę” i „Kawałki żeńskie, męskie i nijakie” z dedykacją. Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem: „Nie ma głupich pytań”.

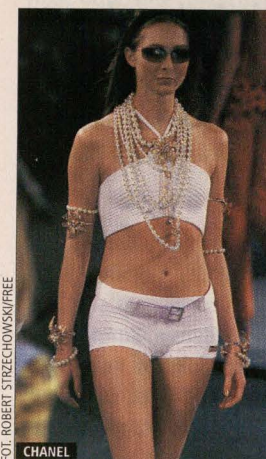
Obraz wyrażen



Podaj hasło, które zilustrował Mariusz Wilczyński

Odpowiedz: Kłótnia za drzwi

Z dziedziny kostiumologii



FOT. ROBERT STRZUCHOWSKI/FREE



FOT. FIRST VIEW/MEDIUM

Sprawa idzie w tym kierunku, żeby maksymalnie odsłaniać, ledwo co zasłaniać, czyli co tu sprzedać?

Kostiumy to właściwie ubiory sportowe. Robią je zupełnie inne firmy, nie ci projektanci od mody większej lub mniejszej. Kupuje się je w specjalnych sklepach albo w wydzielonych działach.

Oczywiście, firmy specjalizujące się w kostiumach stają na głowie, żeby co roku była inna moda, choć zadanie mają niełatwe, bo dwuczęściowe się dziwnie kurczą, robią się coraz mniejsze, tu trójkącik, tam sznureczek, jakieś mikroelementy. Rozpleniły się toplesy, co bije w branżę kostiumową, co tu wymyślić, żeby była konieczność kupienia sobie co roku nowego kostiumu? Materiały są super z lycra na czele, więc się wymyśla nowe wzorki, to kwiatki, to graficzne, to psychodeliczne, strasznie trzeba się nagłowić, żeby wzbudzić pożądanie – klientki w sklepach, a nie okolicznych chłopców na plaży, bo ci i tak zajęci są piwem i swoją komórką.

Wymyśla się różne style, raz są słodkie w pastelowe kratki-kwiatki, raz cygańskie, afrykańskie, szkockie, we flagi, w portrety, w tym sezonie koniecznie w kolorach morza, w innym w kolorach pustyni, to wojskowe, skórzane, dżinsowe, futrzane, koronkowe, cekinowe itp. Co roku wydaje się, że jesteśmy już pod ścianą, ale przecież można zacząć od początku, bo temat jest ulubiony przez media. Prawie gołe dziewczyny rozkładają się rozkosznie na stronach kolorowych magazynów, to grzeją się w słońcu jak leniwe koty, to całe mokre wyłaniają się z niebieskiej wody, to seksownie upiaszczone wylegają się na brzegu egzotycznej laguny. W dali nieziemskie pejzaże, z boku najlepiej starawy tubylec. Takie zdjęcia robi się zimą, trzeba jechać nad jakieś dalekie morza, bo w Europie nie ma jeszcze liści. Zdjęcie musi mieć nastrój. Na zdjęciu trzeba ładnie pić przez słomkę kolorowe drinki, a nie można trząść się z zimna ze zsiniałym nosem. Kostiumy kąpielowe okrutnie wymagają nastroju lata, nie można ich fotografować w wynajętych studiach w starych fabrykach przy dwóch stopniach Celsjusza, gdzie jedynym środkiem grzewczym są krzyki fotografa na modelkę, żeby wreszcie coś z siebie wykrzesać.

Czasem za kostiumy zabierają się też kreatorzy mody, usiłując wymyślić coś innego z tego naprawdę trudnego, a wdzięcznego tematu. Obok kilka takich designerskich kostiumów.

HOFF



PACO RABANNE

FOT. ROBERT STRZUCHOWSKI/FREE

Im dłużej żyję, tym bardziej

Anna Maruszczyńska, dziennikarka RTV, w rozmowie z Marią Czubaszką

bardzo trudno jest trafić na tego swojego singla. Żeby być w duecie.

I nie myślę o tercecie?

– Chodzi Pani o to...

Że podobno wiele kobiet uważa, iż mąż to „ziemia pod nogami, a kochanek niebo nad głową”.

– Ideałem jest dwa w jednym.

Ale nikt nie jest idealny.

– Stąd czasem te niezaspokojone tęsknoty.

A jeśli zaspokojone?

– Jeśli druga strona na to się godzi, to jest obrzydliwe, upokarzające. Małżeństwo jest po to, żeby być we dwoje. Koniec. Kropka. Podwójne życie, zarówno jej, jak i jego, to hipokryzja. Nie ma o czym gadać.

Pomówmy więc o czymś innym. W końcu nie każda kobieta staje przed wyborem – mąż czy kochanek? Czy obaj. Częściej wciąż jeszcze musi wybierać między rodziną a karierą. I co wtedy?

– Jeśli mąż każe jej wybierać – to w bardzo złym stylu. Nieuczciwie i niesprawiedliwie. I kobieta nie powinna się na to godzić.

Tylko go skreślić?

– Niewykluczone. Ona może wybrać. Ale on nie może stawiać jej takiego ultimatum. Chciałaby Pani mieć dziecko z kimś takim?

Ja akurat z żadnym nie chciałam. Zawsze uważałam, że matką musi być kobieta, ale kobieta nie musi być matką.

– To też kwestia wyboru. Wkurzają mnie na przykład panie, które jak tylko urodzą dziecko, zaraz czują się lepsze.

Od bezdzietnych?

– Nawet nie to. Ale zaczynają olewać męża. Albo odwrotnie. On olewał ją. Małżeństwo wiślało na włosku. On chciał już od niej odejść. I nagle – opowiada później ona – cud! Urodziło się dziecko.

I ona już wie, że będą żyli długo i szczęśliwie?

– Zdarza się. Ale nie zawsze, niestety.

My, na szczęście, zawsze możemy zmienić temat. Wyobraża Pani sobie dzień dobrych wiadomości w mediach?

– Marzy mi się taki.

Każdemu się marzy. Ale ja mam na to sposób.

– Wiadomości prawdziwe czy nie, ale zawsze dobre?

Zawsze dobre i zawsze prawdziwe. Zamiast mówić na przykład, że bezrobocie w Polsce sięga już blisko 20 procent, powiedzieć, że ponad 80 procent Polaków ma pracę. I czy to nie jest dobra wiadomość?

– Jeśli mamy mówić poważnie...

Jak najbardziej. I powiem więcej. Zamiast donosić o odwołaniu prokuratora Kazimierza Olejnika z funkcji p.o. szefa Prokuratury Apelacyjnej w Łodzi, można było poinformować o zwolnieniu go z roboty papierkowej, dzięki czemu będzie mógł więcej czasu poświęcić na zwalczanie przestępczości zorganizowanej. W czym okazał się bardzo dobry. Wiadomość niby ta sama, a przyzna Pani, że brzmi lepiej?

– Przyznaję.

W takim razie ja muszę się przyznać, że o tym odciążeniu pana prokuratora od roboty papierkowej to nie moja interpretacja, tylko pani minister Barbary Piwnik. Ale też dobra.

– Wybiela decydenta, ale przynajmniej ludzi nie dołuje.

A nie mówiłam? Że można, jak się chce?

– Gdybym miała prywatne radio (o czym zresztą myślę), chciałabym dawać jak najwięcej dobrych wiadomości. Może niezupełnie takich, jakie Pani zaproponowała...

Ale ten kierunek? Pytam, bo mogę jeszcze nad tym popracować i gdyby coś wyszło z tym radiem, może mogłabym się załapać?

– Będziemy w kontakcie.

RÓWNI I RÓWNIJSI

Wywiad z przedstawicielem Świadców Jehowy („P” nr 25/2974) wzbudził moją wątpliwość odnośnie równości wobec prawa. Jeżeli akceptowany jest taki światopogląd jak prezentowany w tym wywiadzie, to dlaczego niedopuszczalna jest pomoc dla śmiertelnie chorych i cierpiących, którzy dobrowolnie rezygnują z życia?

PIOTR REY

WIĘCEJ „KSIĄŻEK Z KSIĄŻEK”

Chciałbym sprostować, czy raczej uzupełnić, informację podaną przez autora artykułu „Książka z książki” („P” 26/2975). Autor, pan Paweł Dunin-Wąsowicz, pisze, że w trzech dziełach Kurta Vonneguta naliczył 15 tytułów książek Kilgore’a Trouta i że nie ma wśród nich „Venus on the Half-Shell” („Wenus na połowce

muszli”). Otóż ta powieść kieszonkowa również, zanim jako jedyna pojawiła się w świecie realnym, zaistniała na kartach książek Vonneguta, mianowicie w „Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater” (wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1999, 135 s.). W Internecie na stronie http://www.geocities.com/Hollywood/4953/kt_in.html można znaleźć listę 29 fikcyjnych książek Kilgore’a Trouta. Owa dwudziestka-dziewiątka nie jest jeszcze bibliografią pełną, gdyż autorzy strony nie uwzględnili dzieł wspomnianych przez Vonneguta w „Trzęsieniu czasu” (przy pobieżnym przeglądaniu wyłapałem sześć kolejnych).

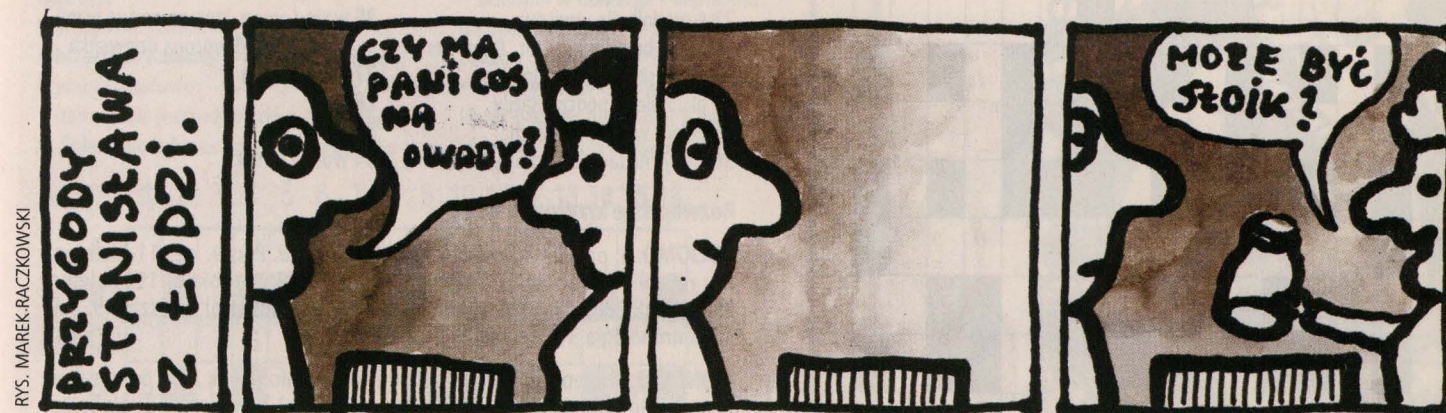
JERZY BUCZEK

DZIĘKUJĘ ZA JACKA

Chciałbym w imieniu swoim i licznych fanów Jacka Kaczmarskiego podziękować za wywiad z Nim zamieszczony w ostatnim nume-

rze „Przekroju”. To chyba najciekawszy artykuł o Jacku, jaki miałem okazję przeczytać od wieści o jego chorobie. Pozwoliłem sobie zamieścić treść artykułu za Państwa stroną internetową na www.jk.prv.pl, a kilkuset osobom zainteresowanym twórczością i zdrowiem Kaczmarskiego poleciłem kupno wersji papierowej. Razem z nimi czekam na dalszy ciąg relacji z leczenia na łamach „Przekroju” – relacji pozbawionej atmosfery sensacji, koncentrującej się na myślach i przeżyciach autora „Obławy”. Sugeruję też nieśmiało polecić czytelnikom najnowszą, doskonałą płytę Jacka „Mimochodem”. Cały dochód z jej sprzedaży przeznaczony jest na leczenie w Innsbrucku. Jeszcze raz dziękuję.

LUDWIK GÓRSKI,
administrator www.jk.prv.pl



RYŚ. MAREK RACZKOWSKI

**PRZE
KRÓJ**

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

DYREKTOR KREATYWNY – WYDAWCA:

Piotr Najstüb

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKI REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Anna Romotowska, Maria Świątlik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała,
Magda Gędziorowska

KULTURA:

Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca),
Marcel Andino Velez, Marcin Baran,
Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Illg,
Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek,
Jacek Podsiadło, Małgorzata Sadowska,
Andrzej Saramonowicz, Marcin Sendeki,
Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz,
Agnieszka Litorowicz-Siegert,
Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski,
Jakub Mielnik, Magda Papuzińska,
Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz,
Michał Wójcik

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Paweł Sito (szef), Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic,
Dominika Szczepanowicz, Dominika Raczkowska

PAN OD RYSUNKÓW:

Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:

Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska,
Ewa Morgunow, Marek Szczepański,
Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:

ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 584 25 25,
faks (0-prefiks-22) 584 25 21

e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:

Edipresse Polska SA,
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 00,
faks (0-prefiks-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierała

WICEPREZES:

Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR

Ewa Redel

ZARZĄDZAJĄCY:

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU

I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:

Agnieszka Smit

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Żochowscy

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:

Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Andrzej Matuszczyk – dyrektor, Maciej Stożek,
Bartek Kluczyński, Adriana Olczak,
Marzena Kiedacz (Kraków)
Warszawa, ul. Wiejska 19,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 94
faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:

Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła,
tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PAPIER: okładka – LumiArt 90 g,
środek – Stella Press 60 g;
producent – Stora Enso

PRENUMERATA:

u Wydawcy

Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 29 lub 584 22 30
faks (0-prefiks-22) 584 22 32

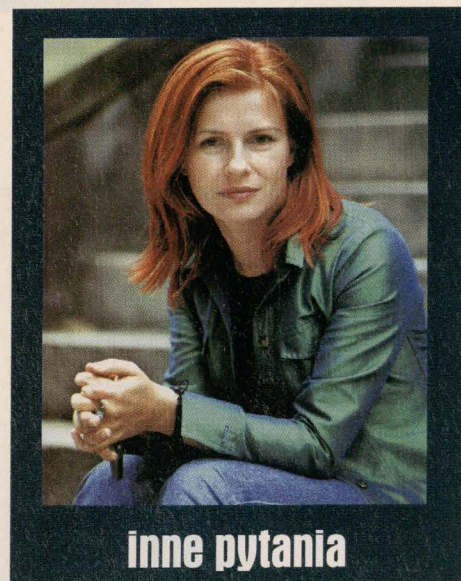
przez pocztę
przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju

przez Ruch SA
informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31,
faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótnów w nadesłanych artykułach i listach.

71



FOT. FLIP CWINKE/REPORTER

Inne pytania

Ideałem jest dwa w jednym

MARIA CZUBASZEK: Zastanawiała się Pani kiedyś, skąd się biorą...

ANNA MARUSZCZYŃSKA: Dzieci? Kiedy sama byłam dzieckiem.

Też to miałam. Dopóki nie poznałam odpowiedzi Antoniego Słonimskiego, że dzieci biorą się z zapuszczonej ciąży.

– Podpadł mi trochę tą metaforą Słonimski. Stąd inne pytanie. Czy zastanawiała się Pani, skąd – a dokładniej – z czego – biorą się single?

– Dawniej stare panny i starzy kawalerowie? Teraz coraz młodsi zresztą. Ale jak ich zwał, w Polsce jest ich już pięć milionów. Myśli Pani, że są samotni z wyboru czy tak im wyszło?

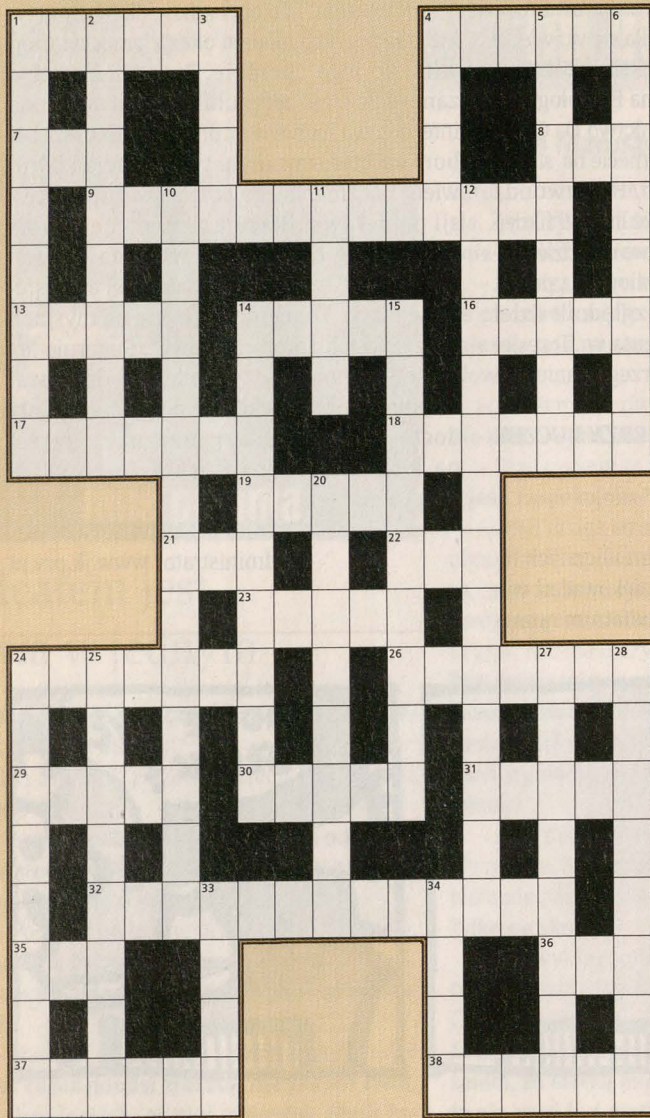
– Mam tę sprawę trochę przemyslaną. Wprawdzie sama jestem zadowoloną żoną od wielu lat, znam osobiście kilku cudownych singli w wydaniu żeńskim i męskim. I ubolewam nad tym. Że są singlami.

Pani zdaniem człowiek jest stworzony „do pary”?

– Jestem o tym święcie przekonana! Im dłużej żyję, tym bardziej. Aczkolwiek generalnie



RYŚ. ANDRZEJ MLECZKO



KRZYŻÓWKA nr 27

POZIOMO:

- 1 kompan, koleżka, kumpel – czwarty na „k” do brydża
- 4 nakładała go Fredrowska małpa, chcąc udać czelaka
- 7 złoty chama
- 8 znajdziesz go w klasie i w oklaskach
- 9 dawniej przed narodzeniem płeć dziecka
- 13 poślizgi z Bardotką
- 14 w sklepie odzieżowym lub w księgarni
- 16 ...dzenie słuchu
- 17 w tym tygodniu narysował też kotka
- 18 gra w kratkę
- 19 adres Złotej Kaczki
- 21 pierwiastek z 10 kilogramów
- 22 sina dla tego, który odszedł
- 23 w nim, być może, koniki
- 24 nie-winna część winogron
- 26 kluski do kapustki
- 29 6 grudnia dla urwistów
- 30 pisarz brazylijski, autor „Dony Flor”
- 31 ukraińskie imię przydomowe
- 32 akumulator podczas jazdy
- 35 Polacy w przestworzach
- 36 kiedyś nadawało Radio Zet

37 gadał do lampy

38 zwis męski elegancki

PIONOWO:

- 1 ojciec frytki
- 2 jednostka momentu magnetycznego stosowana w fizyce jądrowej lub „kaseciak” zdrobniale
- 3 budowany w pocie czoła
- 4 5,-
- 5 niestety (!), jest nią co druga licealistka
- 6 pod nim kolejka do kolejki
- 10 niepoahamowany styl w sztuce
- 11 gdy nim rzucasz, może ci wypaść
- 12 zator i neutral w jednym
- 14 cichy spektakl
- 15 w zestawie „Mały kowal”
- 20 kupczy sztuką
- 24 francuski akcent w peerelowskim umeblowaniu
- 25 ważny organ, którego nazwa brzmi prawie jak odwrócona dziewiątka
- 27 nie wariatyw
- 28 nagi
- 33 koniec psa
- 34 wonny trunek

Rozwiązanie krzyżówki nr 24:

POZIOMO: 1. przodek 4. gwizdek 7. wulkanizacja 8. Prus 9. kres 11. śledziona 14. rękaw 15. Łądek 16. kopia 17. tandeta 18. Nabokow 19. Polelum 21. pisklak 23. Adyga 24. logik 25. Epsom 26. inhalator 27. szat 29. skin 30. antropologia 31. Atlanta 23. armator

PIONOWO: 1. preparat 2. opus 3. klamerka 4. grafoman 5. Znak 6. Korsakow 7. wulkanologia 10. radykalistka 11. Świetliki 12. zapusty 13. alabaster 19. palestra 20. machorka 21. pastylka 22. komandor 28. ława 29. siła

Za rozwiązanie (poprawionej) krzyżówki nr 21 nagrody wylosowali: Piotr Kossowski, Katowice; Marek Lupa, Goleniów; Anna Perek, Warszawa; Danuta Retzlaff, Słupsk; Justyna Urbaniec, Wieliczka. Za rozwiązanie krzyżówki nr 22 nagrody wylosowali: Bogdan Baran, Koszalin; Maria Kostyra, Dębica; Barbara Laska, Szczecin; Wojciech Pohl, Gdynia; Janina Szolc, Przemyśl. **Gratulujemy!**

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ W SALI MĄDROŚCI

autor: Jacek Szczap, profesor enigmatologii

Odpowiedź sprzed tygodnia

Najpierw Wacek zanalizował zawartość pierwszego słoja. Nie było w nim trucizny, pracował więc dalej.

Zostało mu 128 słoje do analizy. Do następnej analizy przygotował próbkę, w której było po kilkanaście kropel wody z 64 słoje. Jeśli w tej próbce wykrył truciznę – to nie musiał już badać pozostałych 64 słoje. Jeśli w tej próbce nie było trucizny, to do zbadania zostały mu te 64 słoje, z których nie pobierał wody do tej analizy. Bez względu więc na wynik do zbadania pozostały mu 64 słoje. Znowu je podzielił na dwie grupy – ale tym razem po 32 słoje każda. Pobrat po kilkanaście kropel wody z każdego z 32 słoje i po analizie do zbadania pozostały mu tylko 32 słoje. Przy takiej metodzie liczba słoje analizowanych kolejno zmniejszała się: 64, 32, 16, 8, 4, 2.

W tym momencie Wackowi do przebadania pozostały dwa słoje. Jeśli by wybrał teraz do analizy ten z trucizną – nie musiałby badać zawartości ostatniego słoja. Jednak z jego uwagi i z wyliczeń czasu wynika, że wybrał ten bez trucizny, a ostatnim słojem, którego zawartość analizował, był ten z trucizną. Liczba badanych słoje w kolejnych analizach układa się zatem w szereg 1, 64, 32, 16, 8, 4, 2, 1, 1. W sumie dziewięć analiz po 25 minut każda, czyli 3 godziny i 45 minut.

– Chcę, aby moja córka poślubiła młodzieńca nie tylko pięknego i bogatego, lecz także mądrego – powiedział król, zwracając się do kilkusetosobowego tłumu pięknych i bogatych kandydatów do ręki królowej. – A że mądrości w przeciwieństwie do urody nie widać – dodał monarcha – każdy z was, zanim zostanie przedstawiony królowej, przejdzie mały test. Po kolei będziecie wchodzić do Sali Mądrości. Wyjść z niej można przez dwoje drzwi. Przy każdym z tych drzwi stoi strażnik. Jeden z nich kłamie, drugi mówi prawdę. Jedne drzwi wiedzą do Sali Przedstawień, drugie do Sali Pożegnań. Ci, którzy wejdą do Sali Przedstawień, zostaną przedstawieni królowej. Jeden z nich być może zostanie jej mężem. Ci, którzy wejdą do Sali Pożegnań, odjadą.

– W Sali Mądrości – ciągnął król – macie prawo zadać strażnikowi, któremu chcecie, jedno pytanie. Pamiętajcie, jeden z nich kłamie, drugi mówi prawdę. Możecie również nie zadawać pytania i zdać się na los szczęścia. No cóż, być może królowa wybierze nie tego, który zada właściwe pytanie, ale tego, który po prostu będzie miał szczęście przy wyborze drzwi. Niezbyt mądry władca, który ma jednak szczęście, jest na pewno lepszym władcą niż władca głupi, a do tego pechowy. Wchodźcie teraz do sali, pojedynczo oczywiście – zakończył król.

Jakie pytanie powinni zadawać kandydaci do ręki królowej, aby po uzyskaniu odpowiedzi wiedzieć, które drzwi na pewno wiedą do Sali Przedstawień?

JOLKA nr 27

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

C6 – I2 – I8 – L12 / C1 – E10 – M3 – H9 – B13 – J14 – Ł11 / H4 – F14 – F5 – E1 – A5 – J10 / G16 – I5 – D13 – L9 / – / L3 – A3 – L14 / E8 – G13 – M15 – M1 – D11 / M6 – C16 – F7 / E15 – G8 – I16 – A10 – K6 – F3.

Wyrazy 10-literowe:

- miasto z Beverly Hills (3+7)
- „Ale pan prezes znakomicie to ujął!”

Wyrazy 9-literowe:

- hobby z trąbką i bigosem • rówieśniczka świata z piosenki Anny Jantar • dyplomata wahadłowy z pokojowym Noblem
- pokojowemu daleko do centralnego
- dyskwalifikuje plotkarę • w to mu drgaj (ziemia) • do poduszki – szabada (5+4)
- celuje w niebo z „Zawiszy Czarnego”

Wyrazy 8-literowe:

- naciągany heros? • gdy zbyt długi, trzeba ująć ujęć

Wyrazy 7-literowe:

- brzęczy w naturcji • drwina z myszką

Wyrazy 6-literowe:

- (tam, gdzie jest) od beczi • indonezyjski as Eola • nie tylko as oczekuje go od mas

• w formularzu ubezpieczeniowym

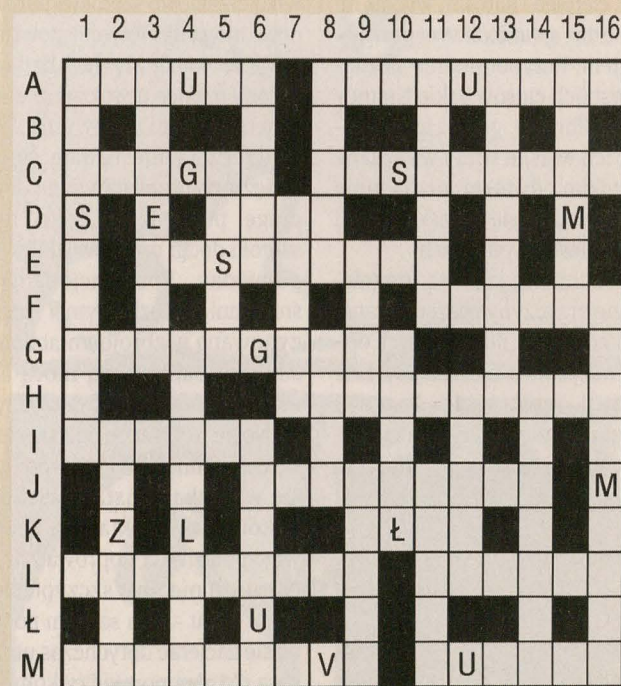
- podzielone na szereg wypadków
- przyśpiewka w światłach rampy • gad z własnym dolarem?
- domena przekupek, psów i broni maszynowej • chleb z nazwiskiem
- bij • perłopławowi nie rdzewieje

Wyrazy 5-literowe:

- cztery kółka malucha • szympan w księgach • śpi, choć jego nazwa sugerowałaby raczej, że skacze • wylądował z Che • duńskie pudła zna jak mało kto
- państwo złożone z południa, ud i północy
- Biskupin w bobsleju • wyrażona na przetwarzanie

Wyrazy 4-literowe:

- srebrzył się w dawnej Francji • skręca kiszki • wódki lub tetetki • owad, który gryzie, a najczęściej jakby



AUTOR: JERZY BUZEK

Rozwiązanie jolki nr 24: ZAMKNIĘTA GĘBA POZOSTAWIA OTWARTE MOŻLIWOŚCI (z książki Glena Cooka „Czerwone żelazne noce”)

Rzędami: **ratownik, Pokémon, chór, neutron, dynia, jęczmierz, braki, kawa, Margaret, wino, osioł, szlafrok, palto, dzielna, figi, manekin, śnieżyca.** Kolumnami: **rachuba, opium, Jagiellon, obrzęk, zimorodek, Nancy, Christian, klucz, lalul, perukarka, flaki, konduktor, solfeż, mianownik, nugat, głębina.**

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 22 nagrody wylosowali: Regina Asimowicz, Kwidzyn; Krystyna Błaszczak, Kraków; Wiktor Gilas, Legnica; Maria Rakicka, Przemyśl; Maria Spyra, Rybnik. **Gratulujemy!**

Nagrody w konkursie „Wyteż wzrozek” ogłoszonym w „Przekroju” nr 22 wylosowali: Adam Koseta, Warszawa; Konrad Kózka, Warszawa; Samuel Gumpert, Łask; Antonina Marat, Żyrardów; Filip Steć, Sękocin; Jakub Woyke, Szczecin-Mierzyn; Olga Zawadzka, Łódź. **Gratulujemy!**



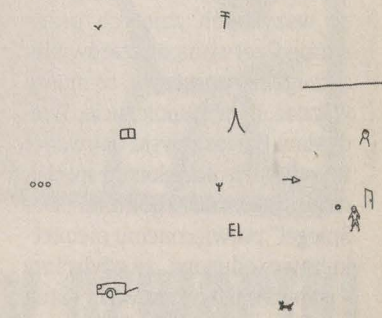
Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 14 lipca (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Antonii Susan Byatt „Dzinn w oku słowika” (wydawnictwo Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem **Jolka 27** lub **Krzyżówka 27**.



WYTEŻ WZROK

Rozwiązanie ze s. 56.



Nowa broń na horyzoncie

Zamiast zajmować się moralnie wątpliwym rozliczaniem przeszłości, zacznijmy patrzeć wojskowym na ręce

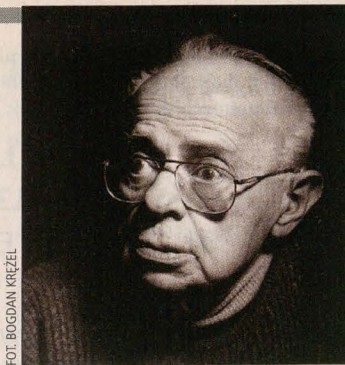
Polska należała do koalicji walczącej przeciwko Trzeciej Rzeszy Hitlera. Jakkolwiek alianci (a zatem i my) odnieśli zwycięstwo nad Niemcami, nasz wojenny koszt okazał się straszliwy i odosobniony w zwycięskiej wspólnoty. Straciliśmy ponad połowę przedwojennego obszaru Polski, zginęło ponad 20 procent obywateli naszego kraju, nasza stolica została spalona i zgruchotana. Czechosłowacja już zajęta przez Niemcy jako protektorat aż do roku 1941 miała przecież otwarte wyższe uczelnie.

Natomiast nas skazał Hitler na niewolniczy trud, konsekwentnie dążąc do eksterminacji polskiej inteligencji i pozbawiając nas średniej i wyższej oświaty. Za te gigantyczne straty otrzymaliśmy z poręki Stalina dawne piastowskie ziemie graniczące z Odrą i Nysą oraz terytorium Prus Wschodnich.

Jak na kraj należący do zwycięskich ponieśliśmy straty właściwie nie do opanowania. Dlatego obecna kariera niemieckich publikacji przedstawiających całą krwawą groźbę ucieczki Niemców ze wszystkich zajętych przez Armię Czerwoną obszarów nie szczególnie poruszyła, co muszę wyznać, moje współczucie. Władysław Bartoszewski zauważył w wywiadzie udzielonym specjalnemu wydaniu tygodnika „Der Spiegel” poświęconemu niemieckiemu exodusowi, że gdybyśmy – wypędzeni, wykrwawieni i zruj-

nowani przez Trzecią Rzeszę i Sowietów – byli jeszcze w stanie żałować Niemców w ich klęsce, bylibyśmy narodem świętych. Na tym całym pogorzeliśku ostatniej wojny światowej podgrzewają jeszcze niemieckie żale tamtejsi politycy, wykorzystując całą gorycz klęski, wygnań, rabunków, wywłaszczeń i gwałtów. Nie przestaje ponadto zaostrzać się sprawa Niemców sudeckich, których również wyrzucono z czeskiej ziemi, i związki wypędzonych wciąż nie mogą owej przeszłości przeboleć.

Chociaż wspomniany specjalny numer „Spiegla” nie przemilcza polskich ani czeskich strat wojennych, samo zestawienie danych przedstawiających wę-



FOT. BOGDAN KRZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

drowki ludów, zesłania do obozów albo do komór gazowych deformuje przecież tamtą panoramę historyczną. Może mnie ktoś oskarżyć o zimne okrucieństwo, ponieważ nie wylewałem i nie wylewam też nad nadziejami tych, którzy roztrząskali nasz kraj i pracę na Wschód, uwięźli wreszcie w ogromnych obszarach Rosji.

Kilkadziesiąt milionów ludzkich istnień uległo zagładzie i buchalczyne próby wyliczenia, która strona doznała większych upokorzeń, cierpień i katuszy, wydają mi się niezbyt sprawiedliwym postępowaniem. Przypominanie skutku wszystkich ciosów, jakie Niemcy zadały Europie, po to ażeby wyliczać ich własne straty wywołane alianckim odwetem, to dla mnie jakby upajanie się powiększonymi dziejami wojen punickich.

Rozumiem, jakie są pragmatyczne przyczyny prezentowania szczegółowych, ilustrowanych opisów wszystkich nieszczęść, jakie Niemcy sami sobie ściągnęli na głowy, ale uważam zastoso-

wanie księgowej rachuby do porównywania wielomilionowych ofiar nie tylko za jałowe, lecz także tracące kiepską moralnością.

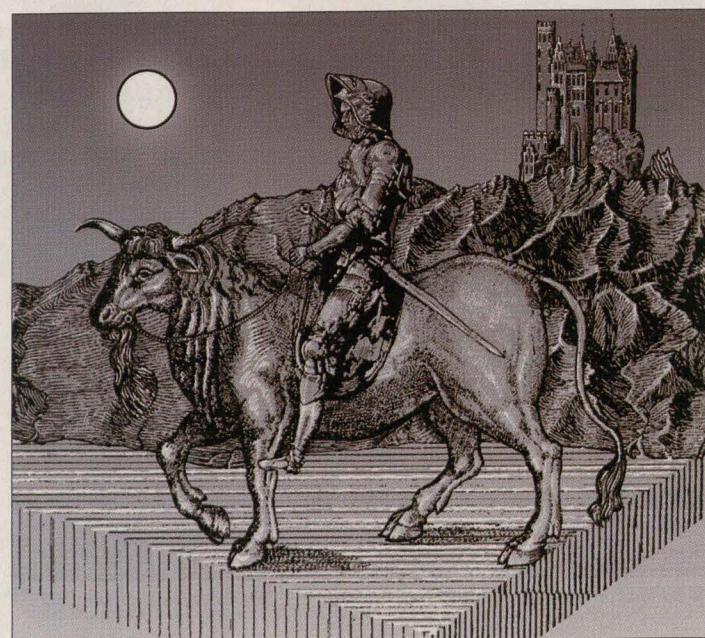
Właściwie należy na początku XXI wieku zwrócić uwagę na zupełnie nowe niebezpieczeństwa i zagrożenia, które dotyczą całego świata Zachodu, z tym że Europa jakby nie do końca zdaje sobie sprawę z kosmaru, jaki przeżyli 11 września ubiegłego roku mieszkańcy Stanów Zjednoczonych. Fachowe prace dostępne tylko częściowo szerokiej publiczności mogą nas również powiadać, że toczą się już badania i próby mające utworzyć czwartą generację broni jądrowych.

Rzecz ta nie nadaje się do zwięzłego przedstawienia, toteż mogę powiedzieć tylko tyle: szeroki dotąd rozryw, jaki istniał pomiędzy konwencjonalnymi środkami wybuchowymi i zmagazynowaną w zbrojowniach oraz silosach balistyczną mocą atomową, ma zostać zniwelowany.

Nowe nuklearne pociski staną się coraz mniejsze i przez to będą się wymykać postanowieniom pokojowych traktatów. Fachowiec potrafi już doprowadzić do eksplozji niemal szczyptę deuteru i trytu – tym samym poczyna się zacierać dotychczas utrwalona różnica pomiędzy konwencjonalną a nuklearną mocą destrukcyjną.

O zastosowaniach broni jądrowej czwartej generacji na razie militarne ośrodki milczą. Warto im jednak poświęcić więcej uwagi aniżeli minionym nieszczęściami, które zapoczątkował niemiecki atak wojenny na Europę.

STANISŁAW LEM
21 czerwca 2002



RYŚ. DMITRI SZEVIKOW-KISIELOW



RYŚ. MAREK RACZKOWSKI

Od 11 lipca „Przekrój” zawsze w czwartki

DWOJE LUDZI Z SZAFĄ

„Słowo Ludu” z 4 czerwca zapowiada obecność gości na trybunach honorowych na meczu Polska – Korea, gdzie:

„zasiądzie dwójka Polaków – żona szefa FIFA Ilona Blatter oraz prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski”.

Szała z mebli Forte?
(Nadesłał Witold S. z Kielc)



Rys. Karina Piwowarska

FLUTEK



KINOTEATRZYK P. JURKA

„Rób swoje, ryzyko jest twoje”

Występują:
OLAF LUBASZENKO
PUENTA MOWY
PROKURATORA

OLAF LUBASZENKO
(niezły aktor ponownie w roli niemego reżysera)

– Nie wykazał skrupuły nawet po „Poranku kogoś”.

Wnoszę o karę dożywotniego więzienia bez możliwości zwolnienia warunkowego!
KURTyna/
KLAMKA zapada

MYŚLI!
Kto śni o potęgach, niech nie chrapie głośno.
Stanisław Jerzy Lec

JESZCZE JEDEN BLIŹNIAK

Podczas bezpośredniej relacji z meczu naszej reprezentacji z USA sprawozdawca I Programu Polskiego Radia nie był pewien autorstwa trzeciej bramki dla ekipy Jerzego Engela:

„Nie, proszę państwa, to nie był Emmanuel Olisadebe, to Marcin Żewłakow”.
Rzeczywiście, można się pomylić – przecież to radio...
(Relacji słuchali dziennikarze „Przekroju”)

UFF, JAK (W TEJ) PUSZCE) GORAĆCO!!!

BRZOSKWINIA
W SYROPIE
WAGA NETTO **820 g**
WAGA PO ODSĄCZENIU **470 g**
SKŁADNIKI: POTOWKI BRZOSKWINI, WODA, CUKIER
MAŁEPIEŃ SPOŻYCZNY PRZED: 31.12.2004
PEACH HALVES
IN SYRUP
NET WEIGHT: **820 g**
DRAINED WEIGHT **470 g**

(Etykieta z brzoskwiń w syropie litry Fruito nadesłała Maria Jaworska ze Skierzwie)

Z GŁOWY...

Komputer nie liczy się z człowiekiem, bez człowieka – też.

...KRZYSZTOFA BILCY

POSZUKIWANY, POSZUKUJĄCA

Magazyn „Gazety Lubuskiej” z 30 marca zamieszcza ogłoszenie:
„Jestem rencistką (...).
Poznam pana niepalącego i nadużywającego alkoholu”.
Faktycznie, ze świecą szukać.

(Ogłoszenie nadesłał Zbigniew Herman z Olyni)

HUMOR ZESZYTOW SZKOLNYCH

Grażyna lubiła męskie przyjemności.

Chopin pisał poważnie na fortepianie solo.

Abstynentem nie był nigdy, gdyż wcale nie pił.

W Ameryce rośnie seksja olbrzymia.

Jaśko nie chciał Halki, a ona w dodatku śpiewała.

Jego oczy ładnie przylegały do twarzy.

Justyna często grała na fortepianie serenady swojemu ojcu, aby zaspokoić jego potrzeby naturalne.

ARTUR ANDRUS

Wiersz, w którym na przykładzie potomków dwóch znanych postaci autor udowadnia, że nie ma recepty na szczęśliwą miłość, i że to nieprawda, że chłopom chodzi o jedno

On miał na imię, powiedzmy, Diego.
Ona, powiedzmy, że Lidka.
On był, powiedzmy, wzrostu średniego, Ona, powiedzmy, niebrzydka.
W ubiegłym roku, w czwartym kwartale, Wpadli na siebie na schodach,
On – jak to mówią – stary kawaler I Ona – panna nientoda.

Losu fantazja nieokleczana Złączyła w sercu Warszawy Jego – prawnuka Ernsta Thälmann – I ją – prawnuczkę Wieniawy.

Dotyk... Spojznienie... I może miłość... Taka, co wszystko zwycięża? Jemu bez żony dobrze się żyło, A Ona szukała męża.

Dotyk... Spojznienie... Dotyk... Uciekla... Bo w tym tkwi sprawa sedno, Że Ona w mężczyźnie szukała ciepła, A chłopom chodzi o jedno.

PS

Niniejszy wierszyk spisany krzywo, Jeszcze jedno sedno ma: Ze chłopom również chodzi o piwo, Z tym, że co najmniej o dwa.

TOFOTOFOTOFOTOFOTO



– Twoja żona? W mojej budzie.